NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 11 listopada 1905 r. Nr. 46.

Krwawe walki w Odessie.

(Do artykułu na stronie 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku.



Fot. E. Pierzchalski. Kraków.
Walka o prawo wyborcze w Krakowie: Czoło pochodu demonstracyjnego na Małym Rynku.

Krwawe walki w Odessie.

(Do illustracyi tytułowej).

Krwawym, niezmiernie krwawym był poród konstytucyi w Rosyi. Dziesięć miesięcy ustawicznych walk z wojskiem, dziesięć miesięcy kolosalnych zapasów z walącym się olbrzymem, któremu na imię carat, poprzedziło tę jasną, pełną szczęścia chwilę, kiedy nareszcie nad Rosyą, gnębioną, uciskaną, niewolniczą, zajaśniało słońce wolności, kiedy car, pod naciskiem rewolucyi zdecydował się wreszcie w ostatniej chwili, gdy go już fale rewolucyi miały pochłonąć i zgnieść, podpisać manifest, nadający ludom, pod jego berłem zostającym, konstytucyę. Ostatni raz przemówił do tych ludów car samodzierzca, ostatni raz wydał manifest, jako car samowładca.

Mimo ogłoszenia manifestu konstytucyjnego, namiętności ludzkie nie uspokoiły się. Krew płynęła dalej po ulicach głównych miast, głównych ognisk rewolucyjnych. Czarne sotnie, zorganizowane przez niewidomą rękę, to znaczy przez rząd, załatwiają rachunki z żydami, których mienie niszczą doszczętnie.

Miejscem takich pogromów żydów na wielką skalę była w ostatnich kilku dniach Odessa. Było do przewidzenia, że rząd rosyjski w ostatniej chwili jeszcze, kiedy już godzina jego wybić będzie miała, postara się o to, ażeby w tłumy, którym dał konstytucyę, wmówić, że konstytucya, to wolność rabowania żydów i innych nierosyjskich narodowości. Tak się też stało. W Rostowie, Kazaniu, Symferopolu, a szczególnie w Odessie, lała się też obficie krew żydowska. Pogromy te, inicyowane przez policyę samą, przybrały wreszcie groźny charakter.

Przeciw „czarnym sotniom“ wystąpili w Odessie robotnicy i studenci. Ci ostatni zorganizowali milicyę, która pełni służbę policyjną w mieście. Naturalnie przyszło między wojskiem, policyą a studentami i robotnikami do częstych starć. Starcia to były krwawe, po jednej i drugiej stronie liczono mnóstwo rannych i zabitych. W piątek doszło w Odessie do tego, że wojsko wytoczyło na place i ulice armaty. Oficerowie otrzymali rozkaz strzelania z armat do kamienic, z których padną strzały na wojsko. W sobotę wszystkie ulice zasłane były wojskiem, które biwakowało pod gołem niebem. Całe miasto przybrało wygląd obozu. Studenci, pełniący straż policyjną, aresztowali blisko 300 przywódców grabieży i rabunków. Mimo to walki trwały tam prawie aż do wtorku bieżącego tygodnia.

Illustracya, zamieszczona na tytułowej stronie naszego pisma, przedstawia ulicę w Odessie, na którą właśnie żołnierze wytoczyli działa.



Fot. E. Pierzchalski. Kraków.
Walka o prawo wyborcze w Krakowie: Poseł Daszyński przemawia do tłumów na Małym Rynku, przed lokalem Związku stowarzyszeń robotniczych.

Walka o prawo wyborcze w Krakowie.

Olbrzymie zwycięstwo robotników rosyjskich, którzy wywalczyli już konstytucyę, wywarło nieopisany wpływ na masy robotnicze całego świata, szczególnie na robotników austryackich, którzy, pomimo konstytucyi, stanowią w Austryi klasę najbardziej upośledzoną, bo pozbawioną prawie w zupełności prawa wybierania sobie posłów, W chwili więc, kiedy robotnicy rosyjscy zwyciężyli, cała masa robotnicza w Austryi podniosła się do walki o reformę wyborczą, o zaprowadzenie powszechnego, równego, tajnego prawa głosowania do gminy, sejmu i parlamentu. Kongres socyalistyczny w Wiedniu uchwalił walczyć o to prawo aż do skutku, choćby nawet przyszło chwycić się najostrzejszych środków, nawet strejku masowego, generalnego, gdyby rząd opierał się żądaniu robotników i sam nie nadał tego prawa.

Socyaliści austryaccy prowadzą walkę o powszechne prawo głosowania z energią i konsekwencyą. Co niedziela odbywają się we wszystkich większych miastach demonstracye na rzecz powszechnego prawa głosowania. Ruch ten ogarnął i Kraków, gdzie co niedziela tłumy kilkunastotysięczne demonstracyjnymi pochodami dają dowód swej siły i stanowczości swych żądań.

W ubiegłą niedzielę odbyła się w Krakowie również demonstracya za powszechnem prawem głosowania. Kilkanaście tysięcy ludzi zebrało się w ujeżdżalni przy ul. Rajskiej poczem wśród śpiewu pieśni rewolucyjnych i szumu mnóstwa czerwonych chorągiewek, ruszył tłum ku rynkowi. Na czele pochodu rozwinięto olbrzymi czerwony sztandar, z literami P. P. S. D. Wtedy stała się rzecz, godna ubolewania. Na skutek dyrektywy p. Flattaua, dyrektora policyi, który nakazał niedopuścić do rozwinięcia sztandaru, rzucili się dwaj komisarze policyjni, dr. Tomasik i dr. Styczeń, aby wydrzeć sztandar. Wtedy tłumy ogarnęła wściekłość. Rzucono się na dr. Tomasika i pobito go tak, że zemdlał i do dziś dnia leży ciężko chory. Dr. Styczeń również został dotkliwie pobity. Zajście to zamąciło narazie poważny nastrój demonstracyi, potem jednak pochód udał się spokojnie przez Główny Rynek przed lokal związku stowarzyszeń robotniczych na Małym Rynku Tam przemawiali jeszcze pp. Haecker, Daszyński, dr. Kapellner, Misiołek i Turzyma, poczem demonstranci rozeszli się najspokojniej do domów.

Dr. Tomasik, którego spotkał taki wypadek, cieszył się w Krakowie powszechną sympatyą. Zajście to wywołało też w całem mieście olbrzymie wrażenie i żywe oburzenie na dyrekcyę policyi, która przez nierozważny rozkaz, stała się faktycznie przyczyną nieszczęścia.

Ilustracye, zamieszczone w dzisiejszym numerze, przedstawiają czoło pochodu demonstracyjnego z tablicą z napisem: „Żądamy równego, tajnego, powszechnego prawa głosowania do gminy, sejmu i parlamentu“, i z wielkim sztandarem, oraz posła Daszyńskiego, przemawiającego na Małym Rynku.

Sergiusz Juliewicz Witte.

Z pomiędzy ministrów rosyjskich największe sympatye pozyskał sobie swoim liberalizmem Sergiusz Witte. On to od lat kilku z rzędu był w Petersburgu dla cara „mężem opatrznościowym“; do niego zwracano się w każdej zawiłej sprawie, jemu poruczano najważniejsze misye zagraniczne. A Witte miał szczęście; los mu zawsze sprzyjał, wyrobił sobie więc wkrótce na dworze carskim wielkie znaczenie i poważanie. Nie lubiono go na dworze petersburskim, ale musiano się z nim liczyć, bo wiedziano doskonale, że to faktycznie jedyny mąż stanu z europejską kulturą, na bardziej zbliżoną do zachodniej, cywilizowanej Europy. Żywioły ra-

dykalne miały do niego zawsze zaufanie, on to bowiem otaczał ich staranną opieką i robił co mógł dla nich.

Znaczenie Wittego wzrosło dopiero w całem tego słowa znaczeniu w roku bieżącym, mianowicie, kiedy wydelegowano go jako głównego pełnomocnika cara na konferencyę pokojową w Portsmouth. Tam rozwinął Witte swoje zdolności i spryt dyplomatyczny w całej pełni. Jego to głównie staraniom zawdzięczyć należy, że rokowania pokojowe, mające położyć kres wojnie Rosyi z Japonią, nie rozbiły się, ale doprowadziły do rezultatu, który cały świat cywilizowany z niekłamanem przyjął zadowoleniem. Pomimo, że pełnomocnictwo Wittego było bardzo ograniczone, pokój przyszedł do skutku i Witte powrócił do Rosyi z gałązką palmową pokoju. Cały naród rosyjski, nienawidzący rządu i wojny, przyjął go jak zbawcę, jak człowieka, który państwo wywiódł z burzliwej toni na spokojny ocean. Nawet car, nie tający zresztą niechęci, jaką żywi dla Wittego, wyraził mu za zawarcie pokoju uznanie i obdarzył go tytułem hrabiowskim.

Ale dla Rosyi rok 1805, to rok epokowy. Po zawarciu pokoju z Japonią i zakończeniem w ten sposób jednej wojny, wybuchła w całem państwie rosyjskiem nowa wojna, o wiele niebezpieczniejsza jak ta na Dalekim Wschodzie. Całą Rosyę ogarnął płomień rewolucyi, cały naród pochwycił za broń, walcząc o wolność, o prawa człowieka, o konstytucyę. Krótkowzroczny rząd rosyjski opierał się żądaniom ludu, ale gdy sytuacya stała się już fatalną, zwrócił się znowu do Wittego po pomoc i radę. Witte, widząc co się dzieje, wytłómaczył carowi, że dalszy opór jest daremny, że ustąpić musi car, a nie naród, choćby car miał na usługi nawet tysiąc Trepowów i oto 31 października ogłoszono w Rosyi konstytucyę. Misyę utworzenia gabinetu powierzył car hrabiemu Wittemu. Ponieważ jednak konstytucya taka, jaką ją ogłoszono, nie zadowolniła rewolucyonistów, a burza rewolucyi rozszalała się jeszcze srożej w całem państwie, car znowu odwrócił się od Wittego, szukając pomocy u Trepowa. Wpływ tych dwóch ludzi ustawicznie to wznosi się, to upada. Ale dzisiaj już można powiedzieć, że zwyciężył Witte.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok portret hr. Wittego, według ostatniej fotografii.



Sergiusz Juliewicz Witte: Prezydent konstytucyjnego gabinetu rosyjskiego.

Walka z kozakami na ulicach Warszawy.

Pomimo ogłoszenia manifestu konstytucyjnego, pomimo, że manifest ten nadawał wszystkim narodom, pod berłem carskiem zostającym, swobodę, wolność zgromadzania się i wolność słowa, nie nadszedł jeszcze w Rosyi czas prawdziwej wolności. Najwytrwalsi obrońcy caratu, ostatnia podpora reakcyi, kozacy, nie przestali dalej przelewać krwi robotniczej na ulicach miast, w których manifest konstytucyjny wywołał demonstracye. Warszawa była przez szereg pierwszych dni listopada widownią ustawicznych walk między kozakami a tłumem robotników.

We czwartek ubiegły kozacy napadli na ulicy Złotej grupę demonstrantów, śpiewających pieśni rewolucyjne. Dzicz kozacka rzuciła się w tłum i rozpędziła go, siekąc nahajkami i brocząc ulicę krwią.

Kilkanaście ciał, wijących się w przedśmiertnym bólu konania, zasłało miejsce walki. Ale to rozjątrzyło robotników. W tej chwili bowiem, kiedy kozacy poczęli się uganiać za pojedynczymi demonstrantami, posypał się nagle z okien przyległych kamienic grad kul karabinowych i rewolwerowych. To robotnicy wdarli się do domów i strzelali, by pomścić śmierć towarzyszy. Nim kozacy spostrzegli, co się dzieje, kilku z nich leżało już nieżywych w kałuży krwi; inni spadli z koni, jęcząc, z rozpłatanymi głowami, ze złamaną ręką; tu znów koń wspiął się dęba zawył z bólu i zwalił się na ziemię, przygniatając całym ciężarem swego ciała siedzącego na nim kozaka. — Cóż było przyczyną tego? Oto w pobliżu znajdowało się rusztowanie domu, którego budowę niedawno rozpoczęto. Robotnicy wdarli się na rusztowanie i kamieniami, cegłami, żelazem, co znaleźli, rzucali na kozaków, raniąc ich śmiertelnie i zabijając. Walka ta, prowadzona zaciekle z jednej i z drugiej strony, skończyło się pogromem kozaków. Zostawili oni na placu boju prawie połowę swych towarzyszów, zabitych lub ciężko poranionych. Reszta uciekła. Ale i wśród robotników nie brakło ofiar.

Ilustracya, zamieszczona w dzisiejszym numerze, przedstawia opisaną wyżej walkę robotników z kozakami.

Nowy poseł niemiecki w Petersburgu.

Każdy rząd utrzymuje w stolicach państw ważniejszych, posłów, którzy nietylko mają bronić poddanych tego rządu, pozostających pod berłem danego państwa, ale reprezentują na dworach, panujących swoich władców. Stanowisko posła jest więc ogromnie ważne i ogromnie odpowiedzialne. Dość powiedzieć, że od zręczności i sprytu posła zależy czasem pokój między dwoma państwami.

Nowy poseł petersburski urodził się w r. 1851 w Wormacyi. W r. 1877 poświęcił się służbie dyplomatycznej.

Był naprzód członkiem poselstwa niemieckiego w Madrycie, potem w Atenach, Bernie szwajcarskiem i Hadze, później pierwszym sekretarzem poselstwa w Paryżu. W r. 1885 otrzymał szlachectwo. Od roku 1896 do 1899 był pierwszym marszałkiem na dworze księcia sasko-kobursko gotajskiego Alfreda. — W rok później powołano go na ważny posterunek poselski w Kopenhadze. Jego działalność jako posła na dworze duńskim była w każdym kierunku obfitą w owoce. Jego sprytowi jedynie należy przypisać zasługę, że w kilka miesięcy po objęciu przezeń urzędowania, stosunki między dworem duńskim a berlińskim znacznie się poprawiły.



Walka z kozakami na ulicach Warszawy: Robotnicy walczą zapomocą rewolwerów i kamieni z okien domów z oddziałem kozaków, który napadł na demostrantów.

BOJOWNICY.

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem,

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

24 (Ciąg dalszy).

— Ciociu, to tylko różnica przekonań ich a moich, nie rozumu i innych doskonałości — uśmiechnęła się — a teraz dobranoc cioci, już blisko dwunasta.

— Dobranoc, kochanie, a nie śnij o mundurze.

— Niema obawy, ciociu.

Olga, przyszedłszy do swego pokoju, odetchnęła z uczuciem ulgi i pomyślała, że minął dzień pańszczyzny. Rozbierała się zwolna, rozmyślając z wielkiem zadowoleniem, że nareszcie po dwóch tygodniach otrzymała ważne dla partyi wiadomości: rozkaz przewożenia winnych do więzień warszawskich i wyjazd Bolcewa do Łodzi. Wstanie raniutko i zobaczy się z Żaleckim, jemu powie usłyszane nowiny.

Poszłaby do jego mieszkania, tam rozmówiłaby się swobodnie, ale on prosił i ją i Helenę, by nie zachodziły do niego, chyba poszuka go we fabryce, bo na porozumienie listowne o schadzkę niema czasu. Rotmistrz wyjeżdża po drugiej, zajrzała do rozkładu jazdy, tak jest, pociąg odchodzi o drugiej trzydzieści a po piątej jest w Łodzi; na zawiadomienie ma czasu dosyć.

Wstała tak rano że, aby nie budzić podejrzeń w domu, musiała z godzinę przesiedzieć w swym pokoju.

Gdy przechodziła do łazienki, zaspany lokaj zabierał się do porządkowania jadalnego pokoju i zdziwiony zapytał:

— Jaśnie panienka już wstała? Dopiero pół do ósmej.

— Nie mogłam spać.

— Czy przygotować śniadanie?

— Niech mi Sabinka przyniesie herbatę do mego pokoju.

— Dobrze, jaśnie panienko.

Zaledwie wróciła do siebie, weszła Sabina z uśmiechem przyjaznym.

— Pewno panienka na pierwszą mszę?

— Tak, moja Sabinko... i spieszę się.

— Może mogę co pomódz? Panienka, to jedyna dusza nasza tutaj.

— Jaka dusza? — zaśmiała się, upinając włosy.

— Nasza polska, katolicka.

— No, a pani?

— Jaśnie pani bardzo dobra, hojna; ale już nie to, co panienka. Żona musi iść za mężem, takie prawo — westchnęła i dalej sprzątała pokój.

Olga tymczasem włożyła skromną, czarną suknię, stanik i pijąc herbatę, rzekła:

— Przygotuj mi Sabinko, dawniejszy kapelusz, ten z drogi i pelerynę zakopiańską.

— Może lepiej żakiet, bo deszcz i niewygodnie będzie w pelerynie z parasolem.

— Dawaj pelerynę... tylko zaraz.

Ubrawszy się, wsiadła w pierwszą napotkaną dorożkę i pojechała. Portyer u wejścia w obręb fabryczny, widząc panią wysiadającą z dorożki, otworzył uprzejmie drzwi i spytał o powód.

— Chciałabym się widzieć z panem Żaleckim.

— Kto to jest? — zdziwił się.

— Pomocnik chemika.

— To musi być świeży — zamruczał i wskazując w podwórzu na lewo, wielki trzypiątrowy budynek — tam pani powiedzą, gdzie go szukać.

Otworzyła wielkie drzwi oszklone. Wysoki portyer, w niebieskawej liberyi, spytał szorstko:

— Do kogo to?

— Chcę pomówić z panem Żaleckim, pomocnikiem chemika.

— Czy w interesie fabrycznym?

— Nie, w osobistym — a widząc jego niezadowoloną minę, dała mu złotówkę — interes pilny i tylko na chwilę.

— No, dobrze — ukłonił się, protekcyjnie się uśmiechając — proszę tu, do poczekalni, zaraz się dowiem, czy jest?

Weszła do wielkiego, jasnego pokoju, który tem się odszczególniał, że w każdej ścianie, prócz wielkiego okna, miał drzwi oszklone, wychodzące na korytarze sąsiednie.

Stała przy stoliku, zajmującym środek pokoju i rozglądała się po cennikach ilustrowanych, zawieszonych na ścianach, za szkłem, w czarnych ramach, gdy wszedł portyer, meldując:

— Pan pomocnik chemika jest we fabryce, przy robocie, czy mam poprosić?

— Jeśli pan tak dobry...

— Kogo mam meldować?

— Znajoma z Galicyi... domyśli się już, bo zapomniałam biletów.

— Nic nie szkodzi... dam mu znać.

I znów upłynął kwadrans oczekiwania, aż wreszcie szybko wszedł Żalecki, a zobaczywszy Olgę i podając rękę:

— Wy!? Wy tutaj? Co się stało?

— Mam dosyć ważne nowiny.

— Ciszej, szeptem mówcie — a podnosząc głos — siadaj pani, czem mogę służyć? Jestem przy pracy — wskazał na zasmarowaną farbami bluzę robotniczą, którą miał na sobie — nie mam dużo czasu.

Usiedli oboje w rogu pokoju, a Olga szepnęła:

— Rotmistrz żandarmów jedzie dziś do Łodzi, szuka składu odezw — i głośniej — prosiłabym pana o radę i pomoc.

— Ja nie bawię się w protekcye — zawołał głośno, a ciszej — portyer, to szpieg — i znów głośniej — może pani pomoże inny.

— Kogóż pan radzi?

— Napiszę kilka słów do jednego z moich znajomych, on ma wpływy i może pomódz.

Przystąpił do stolika i nakreślił na karcie wydartej z notesu kilka wyrazów, a wręczając dodał:

— Do dziesiątej zastanie go pani, ale lepiej iść wcześniej... i do widzenia pani — podał rękę — spieszę do roboty.

Gdy wychodziła, spytał portyer:

— Coś bardzo krótko?

— Spieszył się pan do roboty, źle trafiłam.

— O, u nas każdy musi pracować — uśmiechnął się z dumą.

Na ulicy będąc, zajrzała do kartki. Był adres fabryki Wildta na ulicy Garncarskiej do pana Kubalskiego, urzędnika gospodarczego od „Buczka"; a niżej: Bądźcie w niedzielę o jedenastej u Heleny.

Po zwykłych formalnościach fabrycznych, dotarła wreszcie do pokoju, w którym pracował Kubalski. Zdziwiony wstał z krzesła.

— Pani do mnie? Czem mogę służyć?

— Przychodzę tu od pana Buczka.

— A więc w jego interesie... wiem już.. proszę, zechciej pani spocząć... Czy nie może pani zaczekać do dwunastej, bo nie mam potrzebnych aktów — spojrzał w stronę drugiego pana, siedzącego w tym samym pokoju.

Olga zawahała się na chwilę, lecz znów o dwunastej może być zapóźno.

— Pan Buczek prosił bardzo o pośpiech.

— Hm... panie kolego, nie raczylibyście przejść do buchalteryi, czy akta numer 2407 są gotowe?

— Właśnie mam tam interes własny, dowiem się o aktach 2407.

Po jego wyjściu spytał przyciszonym głosem:

— O co idzie? szybko.

— Dziś o drugiej jedzie rotmistrz żandarmski Bolcew do Łodzi, aby pomódz swemu podwładnemu, który był na tropie i zgubił ślad agitatora. Wiedzą, że skład główny odezw jest w Łodzi.

Kubalski poruszył się niespokojnie i szepnął nachylony:

— Bardzo ważna wiadomość, dziękuję. Jest co więcej?

— Generał-gubernator rozkazał natychmiastowe odsyłanie schwytanych z odezwą do Warszawy, to plan żandarmów, aby się poplątali w zeznaniach.

— Czy to pewna wiadomość?

— Pewna.

— Wy towarzyszka?

— Tak jest.

— Z dziesiątki?

— Buczka i Heleny.

— Aha, to wy ta trzecia, mówiono mi, otóż sam nie mogę, ale pójdziecie na dworzec Warszawsko-Wiedeński, do trzeciej klasy, zapytacie o konduktora Wierzbę i powiecie mu od Komara, że rotmistrz Bolcew, znają go już dobrze, jedzie dziś o drugiej szukać składu głównego i agitatora. Delegatów cofnąć... Czy pamiętacie? Powtórzcie dosłownie

Powiedziała bez omyłki i dodała:

— A gdyby nie było Wierzby?

— Słusznie. Wprawdzie on powinien być na łódzkim pociągu... telefonujcie do mnie — oto numer telefonu — że mieszkanie zamknięte... poradzę jakoś.

Do pokoju wszedł kolega oznajmiając!

— Numer 2407 nie wyszedł jeszcze od referenta.

— Bardzo wam dziękuję — a do Olgi — chciałem, jak pani widzi, załatwić... dopilnuję i sam dam znać.

Na dworcu kolei Olga spełniła swe polecenie, a wracając do domu, spotkała na Marszałkowskiej Jana, który bez pytania meldował:

— Idę po gazety do pana rotmistrza.

— Dobrze... wiem.

Nareszcie jestem w robocie, pomyślała ucieszona, i to w takiej poważnej, gdzie idzie o los ludzki, a nie jak w Galicyi, gdzie zaczyna się i kończy na gadaniu. I jacy oni wszyscy przyjemni, serdeczni, jak gdyby była ich bliską, znaną, wypróbowaną... A Żalecki, jak on zręcznie zmylił tego szpiega portyera, on z nich najsprytniejszy. Chociaż i Komar zoryentował się bardzo szybko i zaraz zapobiegł nieszczęściu. I ten konduktor, słuchający jej z miną tak niewinną i tak głośno odmawiał wzięcia jej bez biletu do Łodzi, bo sam załatwi dobrze. Tak, to prawdziwa rozkosz z takimi ludźmi stawać do walki przeciw tak silnym i przebiegłym wrogom.

Nie uda się panu rotmistrzowi, uśmiechnęła się zadowolona, pojedzie i wróci z niczem. Teraz przez Jana daje odezwę i pewno napisze czuły bilecik. Obejrzała się, czy Jan nie wraca, ale go nie spostrzegła.

Jan tymczasem, doznał tego odznaczenia, że rotmistrz nie rozmawiał z nim w przedpokoju, lecz kazał mu wejść do swego gabinetu.

Jak stanął pokornie przy drzwiach i zaledwie śmiał oczy podnieść na świecący mundur rotmistrza, siedzącego przy biurku.

Rozmawiali po rosyjsku.

— Jakaż twoja służba? dobra?

— Oboje państwo niczego, ale płaca mała i nie tyle mała, bo piętnaście rubli, ale cóż, gdy ani gry, ani gości szumnych...

— Zawsze coś ci kapnie — zaśmiał się rotmistrz.

— Tylko od pana rotmistrza Lednoj, ten się czasem ulituje... Myślę też szukać innej służby.

— Hm... Zanim porzucisz, dam ci zarobek. Uważaj, co mówię. Dasz mi zawsze znać i to jak najprędzej, gdzie twoja pani z panienką idą, ale tylko razem z panienką, albo też, gdyby sama panna szła. Czy do teatru, na koncert, na spacer, po kupno na miasto. Telefonuj pod numer 28, przecież u was jest telefon, a gdybyś nie mógł, pchnij posłańca. I uważaj dobrze. kiedy panienka wstaje, z kim się widuje, jak długo jej niema w domu, kto bywa. Jeśli dobrze spełnisz służbę, dostaniesz dziesięć rubli na miesiąc, teraz dam ci pięć, a później pięć; osobno zapłacę za ciekawą wiadomość o pannie. Rozumiesz?

— Tak jest i zrobię dobrze, tak mi Panie Boże dopomóż.

— Jeszcze jedno. Złapią cię, stracisz służbę i drugiej nie dostaniesz... a powiesz o mnie jedno słówko, wpakuję cię do więzienia, a ty wiesz, że mogę.

Lokaj zbladł i wyszeptał:

— Wiem... i prędzej skonam, aniżeli pisnę.

— Zaczekaj tutaj... dam ci list.

Napisał kilka słów i wyjąwszy ze szuflady dwa egzemplarze odezwy, włożył do koperty.

— Masz zadatku pięć rubli... list oddasz i kłaniaj się państwu odemnie... pamiętaj telefon 28... idź!...

Pani Sudkiewicz otrzymawszy list, przeczytała z pewnem rozczarowaniem odezwę. Spodziewała się jakiejś strasznej groźby, zachęcenia do użycia sztyletów, trucizny, a gdy odczytała spokojne wezwanie do usunięcia szpiegów, wzruszyła ramionami i rzekła:

— Głupstwo!

Natomiast bardzo chwaliła przed Olgą uprzejmość rotmistrza, ładne frazesy listu pachnącego heliotropami.

— To bardzo elegancki człowiek i dobrze wychowany, delikatny, czy nie tak, Olgo?

— Coś go ciocia zanadto chwali — uśmiechnęła się — to podejrzane.

— Ale co znowu? Ja? mężatka? Zresztą on tylko tobą zajęty. A jeśli chwalę go, to dlatego, że zasługuje. Ach, gdybyś ty wiedziała, jacy inni mężczyźni są szorstcy, nieprzyjemni...

— Nie znałabym ich wcale.

— Dziecko jesteś. Czasem musi się znać, przyjmować, być słodką i uprzejmą, bo wymaga konieczność.

— Czy doświadczyła tego ciocia?

— Nie tak bardzo, ale zawsze dosyć, aby to odczuć, bo rozumiesz, że przełożonych mego męża muszę przyjmować... Moje życie nie jest także na różach — westchnęła.

— Ja też nie myślę iść za mąż.

— Tak się to mówi... gdzie idziesz, Olgo?

— Napiszę list do papy.

— Nie zapomnij, ukłony od nas.

— Dziękuję cioci, napiszę.

Jaka ta Olga szczęśliwa, niema ani męża, ani dzieci, ani... kochanka! Wolna jak ptak! Gdyby się wróciły młode lata, pomyślała z żalem i tęsknotą, i mogłabym być wolną, swobodną i lecieć w świat. Tak, teraz to umiem cenić, a dawniej... i siedząc na miękkiej otomanie, rozpamiętywała swoją przeszłość.

W niedzielę poszła Olga do Heleny, która zajmowała niewielki pokoik na czwartem piętrze przy Alejach Jerozolimskich.

Zastała ją samą, siedziała w oknie, patrząc na chmurne niebo i dachy przeciwległych niższych kamienic. Od czasu przyjazdu z Galicyi znacznie zmizerniała, zeszczuplała, straciła swą zwykłą żywość i wesołość.

— Jak się czujesz, Heleno? — spytała ze szczerem współczuciem.

— Ani źle, ani dobrze, obojętnieje mi wszystko... prócz moich motków — uśmiechnęła się z przymusem.

— I kiedy? I jak? — mówiła z goryczą — przychodzę o szóstej rano, odbieram motki i do dwunastej wydaję motki. Przychodzę z obiadu o pierwszej i znów wydaję motki do szóstej wieczorem, a potem obrachunek do siódmej, do ósmej, bo trzeba pomódz, zapisać...

— A wieczorami, Heleno?

— Po czternastu godzinach jestem tak rozbita, bezsilna, że jedynem pragnieniem mojem jest łóżko. Teraz dopiero zrozumiałam konieczność wprowadzenia ośmiogodzinnej pracy. Jeśli tak dalej potrwa, rzucę wszystko i wracam.

— Pociesz się, nie będzie tak zawsze.

— Zawsze będzie — upierała się — przecież patrzę i widzę. Gdybym była silniejszą, zdrowszą, wytrwalszą, to może mogłabym coś zrobić, ale patrz — dłonie wychudłe ręce — gdzież tu siła, gdzie energia?

Olga spojrzała i milczała, nie umiejąc znaleźć słów pociechy i zachęty.

— Jakież są robotnice?

— Z temi mam bardzo mało do czynienia, zamieniam kilka słów tylko, a te, do których się zbliżyłam, opowiadały mi o plotkach, zawiściach, gniewach i intrygach we fabryce... Ja nie umiem z niemi gadać, poruszać ich, obudzić ducha, wyrwać ich z tego kieratu.

Wszedł Żalecki witając je po dawnemu:

— Dzień dobry, koleżankom — podał rękę — co słychać u was?

— Helena traci wiarę w siebie, w swe siły i zdolności... coś trzeba radzić.

Usiadł, wpatrując się w Helenę:

— Chorzy jesteście?

— Nie, nic mi nie brakuje, chodzę, jem, śpię..

— W takim razie nic przerażającego — uśmiechnął się — zwykły rozstrój przy nagłej zmianie życia i zajęcia, to minie...

— Ależ ona taka mizerna — powiedziała Olga.

— I ja nie wyglądam jak róża — zaśmiał się — jedenaście godzin we fabryce, a trzy, cztery godziny natężonej pracy w domu.

Obie spojrzały na niego. Istotnie schudł, poczerniał, a silnie podkrążone oczy świadczyły o zmęczeniu.

— Wy przynajmniej — rzekła Helena — macie zadowolenie moralne, że działacie dla partyi, organizujecie robotników, przygotowujecie na przyszłość... a ja, prócz kilku przelotnych znajomości, nie mogłam, czy nie umiałam nawet zbliżyć się do nich, zawiązać stosunków.

— Mało chcecie — zaśmiał się — dlaczegóż nie powiecie: zorganizować kilka dziesiątek! Już, jak użyć, to użyć!

Helena spojrzała na niego złem okiem i odezwała się z goryczą:

— Wy wszystko obracacie w żart uczucia, obowiązki, cierpienie!

Żalecki poczerwieniał, oczy mu błysnęły, lecz odparł natychmiast spokojnie:

— Wy, koleżanko, naprawdę jesteście rozdrażniona... ależ zmiłujcie się, jak tu nie żartować, gdy po trzech tygodniach opanowuje was zniechęcenie, gdyż... nie stworzyliście organizacyi. Jeden z moich znajomych Gołąb, jest szósty rok w tej samej fabryce i ma trzy dziesiątki na ośmiuset robotników. Drugi, Komar, po trzech latach, na tysiąc czterysta robotników, ma trzydzieści cztery dziesiątki, a Komar, to bardzo dzielny człowiek. Wasz kolega — ukłonił się — może sto, może dwieście słów zamienił z robotnikami i to czysto zawodowych. A wy uskarżacie się po tak krótkim czasie, że nic nie zrobiliście, a więc jesteście do niczego, opuszczacie skrzydła i płaczecie za mamą. Wstyd, koleżanko! Wasza poprzedniczka, Kazia, ta aresztowana, miała dwie dziesiątki po dwóch latach pracy, słyszycie, po dwóch latach!

— Czy to wszystko prawda, co mówicie, kolego? Czy to nie wybieg, aby mnie pocieszyć i rozruszać?

— Nigdy nie kłamię — oburzył się — i wiecie, że w naszych stosunkach obowiązuje tylko i jedynie prawda.

— Dziękuję wam, to mi dodaje otuchy, że jednak przydam się na coś.

— Nie wątpię w to ani na chwilę, tylko nie sądźcie, że cuda zrobicie, dlatego, że byliście na uniwersytecie a zniżyliście się do maszyny z motkami — zaśmiał się on i koleżanki.

— Wy macie dar przekonywania — westchnęła Helena — czemuż ja go nie mam?

— Bo widzicie, koleżanko, słowa, frazesy, logiczne dowody, są dobre między równymi lub na publicznej mownicy, ale w naszej robocie wyglądają jak igraszki dziecinne, wobec ogromu ich biedy, nędzy, ciemnoty umysłowej. Tu znaczą czyny,



Na dworcu kolei Olga spełniła swe polecenie...

nic więcej, a piękne frazesy odrzućcie, one nietylko, że nie pomagają, ale szkodzą.

— Rozumiem i będę próbowała.

— Wiecie koleżanki, proponuję piknik, jestem głodny, a z wami tak dobrze i miło — spojrzał na Olgę — że chcę tu zjeść, daję na składkę całą złotówkę!

— I ja! — zawołała Olga.

— Stócie! — krzyknęła Helena — nie profanujcie mego apartamentu! Widzicie, stół traci ze wstydu blask politury, krzesła barwę — wskazywała na zniszczone meble — moja gościnność jest tak wspaniała, że mam dla was serdelki i chleb!

Podeszła do szafki w murze i wyjęła cztery serdelki i bocheneczek chleba.

— W obawie, że zechcecie zjeść wszystko, chowam moją kolacyę — zawinęła starannie jeden serdelek i włożyła do szafki — a teraz, o Lukullusie, zazdrość nam!

— Znów jesteś dawną Helenką — powiedziała serdecznie Olga.

— Dla was zawsze gotowa jestem podzielić się nawet serdelkami — zaśmiała się — gdzież to bratobójcze narzędzie?! — szukała noża w szufladzie.

— Przepraszam was, koleżanko Wojtyrska, że przyjąłem was, jak psa — tłómaczył się — ale nie mogłem inaczej, portyer jest szpiegiem dyrektora, a może i rządu, nie mogłem się narażać.

— Ależ postąpiliście doskonale i mam cały szacunek dla waszego sprytu — uśmiechnęła się Olga przyjaźnie.

— Co? Ty byłaś u kolegi? we fabryce?

— Prawda, przecież koleżanka Borwicz nic nie wie — wstał z krzesła i biorąc Olgę za rękę — przedstawiam wam Cezara z naszego tryumwiratu. Ona uratowała od bardzo możliwego aresztowania Ryszarda w Łodzi; trzech towarzyszy, delegowanych po odbiór proklamacyi i prawdopodobnie umożliwi ucieczkę aresztowanym. *Salve Caesar!*

— Teraz wyśmiewacie się ze mnie — powiedziała Olga zaczerwieniona.

— Prawdę wam powiedziałem i Komar kazał wam podziękować, a to dużo!

— Co wy mówicie ze mną jakimś cygańskim narzeczem — albo jestem w tryumwiracie, albo nie jestem?!

— Uspokójcie wasz zwykle łagodny umysł — skinął ręką uciszająco — zaraz się dowiecie i zaspokoicie głód waszej ciekawości.

— Pić nie będę, jeść nie będę, tylko słucham.

— Łatwo wam przyjdzie jedno i drugie, bo już nakarmiliście zwierzątko wasze.

— Bez osobistych przymówek — udała obrażoną — gadajcie...

Opowiedziano jej wszystkie szczegóły, a Żalecki, z widoczną przyjemnością, powtórzył pochwałę Komara.

— Jaka ty Olgo szczęśliwa — westchnęła Helena.

— To tylko przypadek — tłómaczyła się.

— Przypadek — rzekł Żalecki — który trafia się tylko ludziom mądrym i przezornym.

Pochwała ta, zresztą słuszna, bo istotnie zapracowała na nią, była przyjemną Oldze i oczy jej podziękowały mu.

— W gorączce chwili — zaczęła Olga — opuściłam drobne szczegóły.

— Jakie? mówcie?

— Generał-gubernator wyznaczył nagrodę trzystu rubli za schwytanie głównego agitatora odezw.

— To dobra wiadomość — cieszył się Żalecki — podniesie urok partyi, która wie o wszystkiem i wzmocni zaufanie towarzyszów.

— Tem lepiej — uśmiechnęła się Olga zadowolona — co do zabitych dwóch szpiegów w Łodzi a jednego w Warszawie, aresztowano tylko podejrzanych.

— Dobrze wiedzieć... da im się znać. Wprawdzie nie uwolni ich to od kary, ale przynajmniej nie będą wisieli. I nic więcej?

— Nie, to wszystko.

— Jeszcze wam mało? — zaśmiała się Helena — jaki to nienasycony rewolucyonista, a sam?

— Cóż wy robicie? — spytała Olga szczerze zainteresowana.

— Pracuję jako bezpłatny praktykant i tylko się wysilam, aby zachwycić moich przełożonych. Pierwszy przychodzę, ostatni wychodzę. Podwajam się, potrajam, byle uzyskać łaskę wyzyskiwaczów — śmiał się, wesoło spoglądając.

— Ładne zajęcie — rzekła Helena drwiąco.

— Nietylko ładne, ale i ciężkie.

— I w jakim celu, kolego? — spytała Olga.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Krwawe żniwo: Grupa robotników wraz z dziećmi, ranionych podczas zajść ulicznych w Moskwie, po opatrunku udzielonym im w jednej z aptek.

Krwawe żniwo.

W walce o wolność, w walce o prawa do życia, ludzie nawet słabego ducha, stają się bohaterami. Przykłady tego widzimy teraz doskonale w Rosyi. Tam powstał cały naród do heroicznych zapasów z caratem. Na ulice stolicy i większych miast wyległy tłumy, wśród których można ujrzeć wielu wyrostków, a nawet dzieci. Wszyscy gotowi na śmierć i idą na śmierć z okrzykiem na ustach „Niech żyje rewolucya“. Tysiące młodych ludzi padło od kul kozackich na ulicach Petersburga, Moskwy, Odessy, Warszawy i innych miast. Ale krew, przez nich na ołtarzu Wolności przelana, stała się nasieniem nowych zastępów bohaterów, którzy Rosyę od jarzma uwolnić pragnęli i wywalczyli wreszcie wolność.

Jak z jednej strony podziwiać musimy tych bohaterów, którzy z obnażonemi piersiami szli na kule kozackie, tak z drugiej strony nie można się powstrzymać od oburzenia jakie człowieka ogarnia, kiedy się czyta o okrucieństwach, dokonywanych przez obrońców caratu, przez kozaków i wojsko. To, czego dokonywali kozacy, tłumiąc rewolucyjne demonstracye, stanowić będzie niezatartą kartę hańby w historyi nie Rosyi, ale całej ludzkości. Barbarzyństwa, jakich się dopuszczali kozacy, są tak ohydne, że przynoszą hańbę nietylko im, ale całej ludzkości, która pozwoliła na takie rzezie i okrucieństwa. W dwudziestym wieku, kiedy kultura wzniosła ludzkość na pewną znaczną już wyżynę etyczną, barbarzyństwa kozaków podczas rewolucyi rosyjskiej, przypomniały ludzkości czasy średniowieczne, ba, czasy dzikości jeszcze. Carat ostatnie nadzieje pokrył w kozakach, barbarzyńcach i to było dowodem, że dni jego zbliżały się ku końcowi. Na bezprawiu oprzeć się może tylko bezprawie, a przeciw narodowi nie poradzi zgraja służalców w szynelach.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy illustracyę, przedstawiającą grupę robotników, poranionych przez kozaków w Moskwie. Są tam mężczyźni starsi, silni i krzepcy, są też na przodzie dzieci, chłopcy może 8-letni. Kozacy nie patrzyli kogo biją, bili każdego i zabijali bez pardonu, kto się im tylko pod rękę nawinął, choćby to nawet było niewinne dziecko, lub kobieta, która może przypadkiem znalazła się na ulicy i w demonstracyi nie brała udziału. Ale kozacy, wychodząc na stłumienie rozruchów, szli zbierać „krwawe żniwo“ wedle rozkazu komendy. Nie liczyli się z tem, że z tego żniwa wyrośnie bujny kwiat wolności, który oni w zarodku zgnieść chcieli. Ci, którzy padli pod ich karabinami i nahajkami, zyskali imię bohaterów, oni — smutną nazwę: barbarzyńców.

Sokół w Jaworowie.

Niewiele chyba gniazd sokolich w Galicyi, zwłaszcza w mniejszych miastach, może się poszczycić tak piękną sokolnią, jak gniazdo w Jaworowie. Ale bo też Sokół jaworowski dzielnie spełnia wszystkie swe obowiązki, dzielnie pracuje nad zrealizowaniem pięknej, szlachetnej idei sokolej. Życie wre tam całą pełnią, członkowie których liczba przenosi setkę, z ochotą garną się pod dach swego towarzystwa, krzepiąc tam nietylko swe siły fizyczne, ale i umacniając ducha narodowego.

Pod przewodnictwem swego zasłużonego prezesa, inżyniera Jarosza, gniazdo jaworowskie rozwija się coraz piękniej i staje się z każdym rokiem potężniejszą placówką narodową. Rozwój ten wzmocni się teraz jeszcze bardziej, znajdując silne oparcie w nowowybudowanej sokolni.

A nie tylko z zewnątrz przedstawia się gmach Sokoła jaworowskiego wspaniale. Urządzenie wewnętrzne jest również piękne i bardzo praktyczne. Zwłaszcza sala gimnastyczna, duża, jasna, z przyrządami nowymi, odpowiada wszelkim nowoczesnym wymogom. Jakże ona odmienna od ciasnych, dusznych salek, w jakich cisnąć się muszą członkowie towarzystw sokolich w innych miasteczkach! Dzięki zaś swej obszerności będzie ona mogła służyć nietylko na ćwiczenia gimnastyczne, do czego w pewnej linii jest przeznaczona, ale i na zebrania towarzyskie, na obchody narodowe i t. d.

W dzisiejszym numerze podajemy zdjęcie fotograficzne tego pięknego gmachu sokolego.



Sokół w Jaworowie: Widok nowej sokolni w Jaworowie. Fot. M. Münz. Lwów.

25-letni jubileusz artysty.

Sylwetka jubileuszowa.

Patrząc na pana Adama Müllera, który dzisiaj właśnie święci srebrne gody związku serdecznego z sztuką dramatyczną, przyszło mi na myśl trafne powiedzenie Ruskina, iż „zadaniem życia powinno być wytwarzanie ludzi pięknych i szczęśliwych, a przez to i dobrych“... więc żądać potrzeba takiego przekształcenia wszystkich warunków pracy, aby każdy członek społeczeństwa mógł pozyskać sobie byt godny człowieka, a przy pracy swojej mieć wolność artysty, możność uciechy z dzieła, któremu oddaje siły swojego ducha“.

Tak, Ruskin ma niewątpliwie słuszność. Tak być powinno. Jak daleko jednak od ideału tego odbiegła ludzkość, na to każdy sam sobie da najlepszą odpowiedź, jeżeli wejrzy w życie swoje i popatrzy za siebie, co ono mu dało w stosunku do tego, czego miał prawo od niego się spodziewać.

Jeżeli pan Adam Müller, podobnie jak zresztą wielu innych, jemu podobnych, może słuszny żywić żal do stosunków u nas panujących, że nie stanął tam, gdzieby go gorące zamiłowanie do sztuki



25-letni jubileusz artysty: Adam Müller, artystyczny dyrektor amat. teatru im. Al. hr. Fredry w Stanisławowie.

i wysoka cześć dla niej postawić były powinny, to w każdym razie jednak wyniósł z ciężkich terminów życiowych rzecz niezmiernie cenną, więcej wartą aniżeli majątek, dobre imię.

Oprócz tego, co prawda, idealnego skarbu, może jeszcze pan Müller mówić o pewnej sumie zadowolenia własnego, jako artysta bowiem i dyrektor teatrów prowincyonalnych, z którymi przez lat kilkanaście przeciągał Galicyę i Królestwo Polskie, wszerz i wzdłuż, położył około budzenia i szerzenia zamiłowania do sztuki dramatycznej wiele istotnej zasługi. Pan Adam Müller jest artystą dramatycznym z powołania.

Jako chłopak kilkunastoletni w gimnazyum stanisławowskiem organizował teatry amatorskie i lepiej już wtedy znał arkana sztuki teatralnej, aniżeli różnicę pomiędzy drugą a trzecią deklinacyą łacińską lub pomiędzy równaniem drugiego lub trzeciego stopnia.

Oczywiście skończyło się tak, jak można się było spodziewać.

Pewnego pięknego poranku nasz Adaś cisnął gramatykę Schenkla i arytmetyką Mocnika pod łóżko i przystał do komedyantów.

Kolejno przenosił się od Lasockiego do Baczyńskiego, od Kwiecińskiego i Antoniewskiego do Piaseckiej, wreszcie sam złożył sobie towarzystwo, z którem przebijał się przez życie twarde i znojne, pełne przeciwności, to złudnych uśmiechów fortuny, aż wreszcie, przekonawszy się na własnej skórze, o czem już dawniej wiedział Seneka, że „głową muru nie przebije“, zwinął swoją trupę i podkreślić to potrzeba, z honorem, uczyniwszy zadość wszystkim swoim zobowiązaniom i osiadł po dwudziestopięcioletniej włóczędze w rodzinnym Stanisławowie.

Obecnie pan Adam Müller jest dyrektorem artystycznym amatorskiego teatru im. Fredry w Stanisławowie. Złożył wyborne grono amatorów, wyucza ich i musztruje, jak zawodowych artystów, i trzeba przyznać, że umiał stworzyć bardzo dobry

teatr, mogący z niejedną trupą teatralną zawodowych aktorów iść o lepsze. Teatr ten cieszy się znacznem w Stanisławowie powodzeniem, jubilat nasz zaś znalazł w nim pole dla pracy, której od ćwierć wieku z prawdziwem oddaje się poświęceniem, oraz skromny kawałeczek chleba.

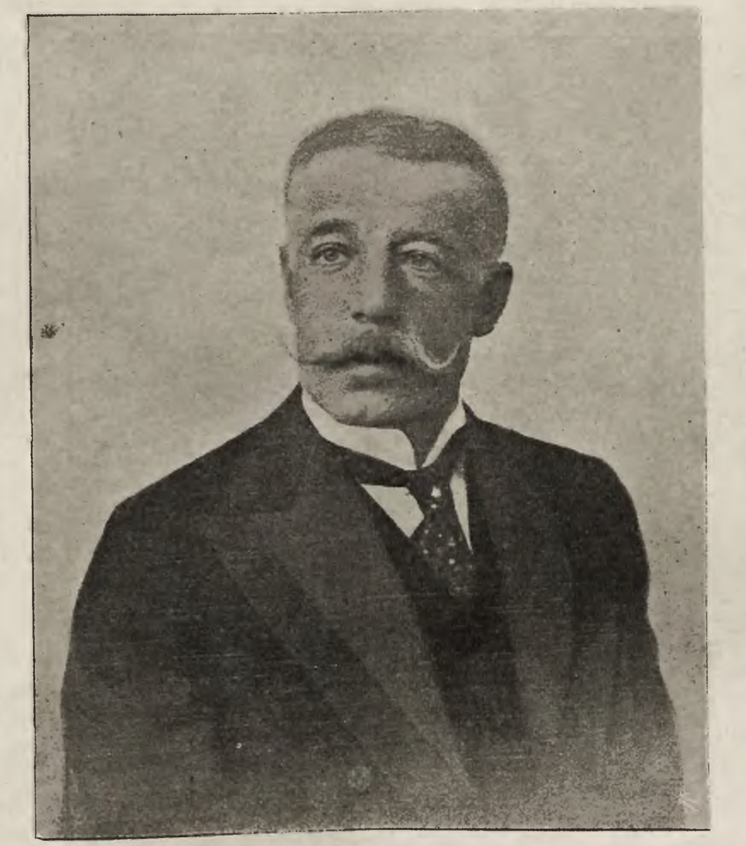
Na uczczenie srebrnych godów pana Adama Müllera dał teatr amatorski im. Fredry w Stanisławowie dnia 5 bm. „Zaczarowane Koło“, w którem wystąpił jubilat. Wieczór ten był dla pana Müllera chwilą należącego mu s ę od społeczeństwa uznania za rzetelną i sumienną jego pracę ćwierćwiekową na niewdzięcznej niwie teatralnej.

Od siebie zasyłamy mu: „*ad multos annos*“.

S. b.

Rzeź w Mińsku.

Od czasu ogłoszenia praw człowieka przez Wielką Rewolucyę, t. j. od lat stu z górą, nie nadeszła w historyi godzina tak wielka, tak brzemienna w skutki, jak dnia 31 października b. r. w nadnewskiej stolicy — w Petersburgu. Zwiastowała ona Rosyi całej, t. j. stu trzydziestu przeszło milionom ludzi, wolność, uzyskanie praw ludzkich, wzywając zarazem całe te olbrzymie, a dotychczas pod knutem jęczące masy, do walki bezkrwawej, do zapasów nowych, które się nazywają ogólno-ludzką kulturą. 31 października bowiem, ukazał się w Petersburgu manifest carski, ogłaszający konstytucyę. Z poza ciężkich, odwiecznych chmur ucisku, wypłynęło słońce wolności i swobody. W szeregu wolnych narodów, dźwigających ideały ludzkości coraz wyżej, wiecznie naprzód dążących, stanął nowy naród — naród rosyjski. Carat, owa ponura pozostałość średniowiecznych czasów, znikł z widowni i przeszedł do historyi, a na jego miejscu powstało państwo nowe, oparte na wszelkich zdobyczach postępu ludzkości.



Nowy poseł niemiecki w Petersburgu: Wilhelm Schoen nowomianowany poseł niem. na dworze petersburskim. (Treść na str. 3).

Chwila to dla całej ludzkości nad wyraz wielka i uroczysta. Nic dziwnego, że na wieść o konstytucyi w Rosyi, zadrżał cały świat. W tej chwili Wolność święciła tryumf, który nieobliczalne może pociągnąć za sobą skutki dla całej ludzkości, uprzystępnić jej zamiary i cele, które dotychczas były tylko marzeniami. A wolność tę wywalczył sobie krwawo lud roboczy, ta największa dzisiaj na świecie potęga.

Pisaliśmy w poprzednim numerze, jak straszną była walka o wolność. Już wtedy można było przewidzieć, że konstytucya, jaką car musiał pod presyą rewolucyi nadać, rozbije naród na dwa obozy. Jednych może zadowolnić, drugich jeno zachęcić do dalszej walki. Wiedziano przecie, że carat chciał przemocą zwyciężyć naród i wiedziano, że jeżeli będzie robił ustępstwa, to tylko bardzo powoli. Konstytucyi w całem tego słowa znaczeniu, nikt się nie spodziewał. Sytuacyę pogarszał jeszcze fakt, że rząd rosyjski przez szereg lat starał się o to systematycznie, aby swą powagę podkopać. *Fides punica* rządu rosyjskiego, była aż nadto dobrze znaną, ażeby carowi mógł naród odrazu na słowo uwierzyć. Przewidywania zamieniły się w rzeczywistość. Po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego, zawrzała rewolucya na całym obszarze caratu z niepohamowaną siłą. W głównej części przyczynił się do tego sam rząd.

Pomimo niewiary, z jaką się spotkał manifest konstytucyjny, wywołał on jednak ogólną radość. Bo była to już w każdym razie wielka zdobycz, godny owoc krwawych walk. W większych miastach zapanował w pierwszej chwili entuzyazm. Na ulice wyległy tłumy ludzi; robotnicy, inteligencya, żołnierze nawet przyłączali się do demonstracyjnych pochodów, poruszających się wśród śpiewu pieśni rewolucyjnych. Nieznajomi padali sobie w objęcia, ściskali się i całowali, wśród gromkich okrzyków: „niech żyje wolność“.

Taka uroczysta chwila miała miejsce 1 listopada w Mińsku, jednem z centr ruchu rewolucyjnego. W demonstracyi wzięli udział nawet żołnierze, którzy odrzucili broń, a do mundurów przy-



Rzeź w Mińsku: Napad kozaków na rozentuzyazmowany tłum, demonstrujący radośnie z powodu ogłoszenia manifestu konstytucyjnego w Rosyi.



Fot. M. Münz. Lwów.

Zaprzysiężenie rekrutów we Lwowie: Rekruci powracający do koszar przy dźwiękach muzyki po złożeniu przysięgi.

czepili czerwone odznaki. Entuzyazm był powszechny, a wzrósł jeszcze, kiedy jeden z oficerów wyjął szablę z pochwy, zatknął na niej czerwony sztandar i wzniósł w górę. Tysiące piersi zabrzmiało głośnem: „niech żyje wolność i swoboda"! Tysiące rąk wyciągnęło się do bratniego uścisku, z tysiąca ócz padały łzy, wielkie, czyste łzy radości i wzruszenia. W takiej podniosłej chwili najniespodziewaniej ukazali się w tyle za demonstrantami kozacy. Padła jedna salwa, druga, krew zbroczyła ulicę, z piersi rannych wyrywać się poczęły jęki, a wtedy kozacy wpadli w tłum i rozpoczęli rzeź. Padło kilkanaście osób zabitych, mnóstwo demonstrantów raniono. Takie wypadki miały miejsce w kilku innych miastach, nic dziwnego, że już we czwartek znowu cała Rosya stanęła w płomieniach rewolucyi.

Illustracya nasza przedstawia chwilę, kiedy na rozentuzyazmowany tłum w Mińsku, uderzają kozacy.

Zaprzysiężenie rekrutów.

Służba wojskowa, zwłaszcza trzyletnia, nie należy stanowczo do rzeczy rozkosznych, miłych, lekkich; to rzeczywiście podatek najcięższy, podatek krwi. A już najbardziej daje się odczuć nowozaprzysiężonym żołnierzom-rekrutom, pierwszy okres ich służby, zwany popularnie „abrychtunkiem". Wyrwany z otoczenia, wśród którego wyrósł, zdala od rodziny i ukochanych, żyje biedny rekrut zamknięty w murach koszar jak w więzieniu, bo mu ich przez dłuższy czas opuścić nie wolno. Musi się naprzód zapoznać z „kopuzdrakiem" i „sztruzakiem", musi się oswoić z mundurem, nauczyć się chodzić w „waffenroku" i „kupli", w których mu tak nieswojo i dopiero wówczas wolno mu pod opieką starszych „kamratów" wyjść na przechadzkę do miasta. Ileż to cichych, nieznanych nikomu tragedyi rozgrywa się w owym czasie w kasarniach wielkomiejskich, ileż zaparcia się musi okazać taki rekrut, zanim oswoi się z życiem kasarnianem, tak bardzo odmiennem od jego dotychczasowego życia.

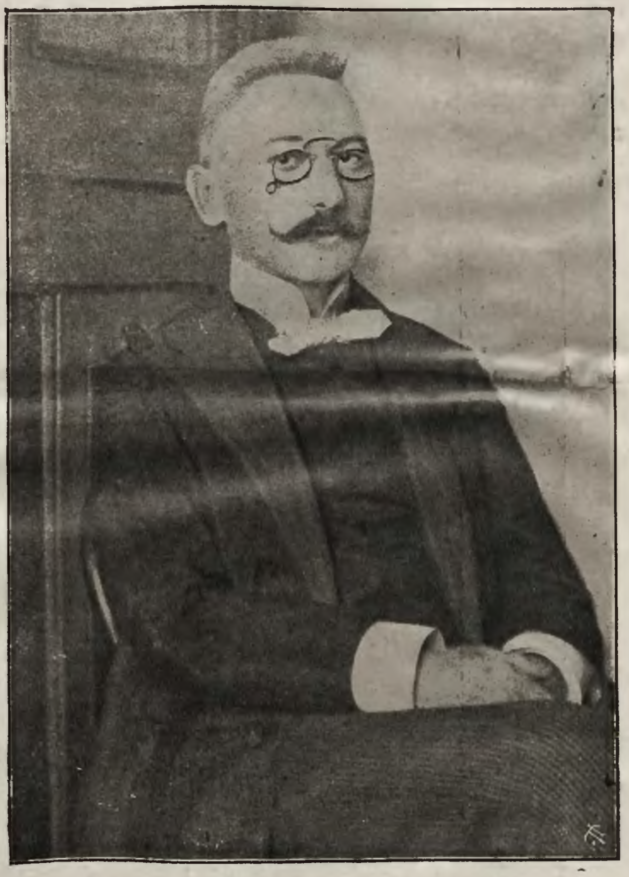
Po kilku tygodniach takiego życia, po kilku tygodniach ciężkiej, nużącej pracy, kiedy rekruci zaznajomią się już z najistotniejszemi zasadami egzecyrki, odbywa się rokrocznie w dniu 1 listopada we wszystkich garnizonach uroczyste ich zaprzysiężenie. We Lwowie odbywa się ono na błoniach janowskich. Po mszy polowej wygłasza jeden z kapelanów wojskowych długą mowę tłómacząc żołnierzom znaczenie przysięgi, którą mają składać i pouczając o obowiązkach stanu wojskowego. Następnie składają rekruci przysięgę wierności, poczem następuje powrót do miasta, przy dźwiękach kapeli wojskowej oraz defilada przed starszyzną.

Ilustracya nasza, obok umieszczona, przedstawia właśnie chwilę, gdy oddziały rekrutów z muzyką wojskową na czele, wracają po złożeniu przysięgi do miasta ulicą Janowską.

Profesor Wilhelm Bruchnalski.

Katedra literatury i jezyka polskiego na uniwersytecie lwowskim, katedra tak wielkiej doniosłości, otrzymała nowego kierownika w osobie dotychczasowego docenta tego przedmiotu, dra Wilhelma Bruchnalskiego. Dr. Bruchnalski jest na katedrze tej następcą wielce zasłużonego badacza i krytyka literackiego, a przedewszystkiem znakomitego kierownika seminaryum prof. Romana Pilata, który w roku ubiegłym z powodu ciężkiej choroby, musiał ze stanowiska swego ustąpić. Zasługi prof. Pilata niezmiernej są dla nauki polskiej doniosłości, tem bardziej, że do niedawna katedra przezeń zajmowana, była jedyną na uniwersytecie lwowskim katedrą tego przedmiotu. Dopiero wskutek usilnych zabiegów i starań młodzieży, popartych przez senat akademicki, kreował rząd drugą katedrę literatury polskiej i powierzył ją zasłużonemu, a tak przedwcześnie zmarłemu, prof. Piotrowi Chmielowskiemu, następnie zaś prof. J. Kallenbachowi.

Prof. Wilhelm Bruchnalski ur. się w r. 1859



Profesor Wilhelm Bruchnalski: Dr. Wilhelm Bruchnalski prof. literatury i języka polskiego na uniwersytecie lwowskim.

we Lwowie, tu też kończył szkoły średnie, a następnie uniwersytet, gdzie studyował pod kierunkiem prof. Pilata. Po uzyskaniu stopnia doktora filozofii, objął obowiązki nauczyciela gimn. Franciszka Józefa we Lwowie, następnie zaś został mianowany skryptorem literackim zakładu im. Ossolińskich. Równocześnie pracował bardzo wydatnie na polu historyi i krytyki literatury i w czasie tym ogłosił drukiem poważny szereg prac. Nie podobna ich tu wymieniać. Godzi się jednak wspomnieć o źródłowej pracy i studyach prof. Bruchnalskiego nad pieśnią „Bogarodzico", dalej o wzorowem przygotowaniu popularnego wydania „Pana Tadeusza". Po habilitacyi na uniwersytecie lwowskim, rozpoczął prof. Bruchnalski wykłady jako docent prywatny, w roku zeszłym otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego, przed kilku dniami zaś został mianowany rzeczywistym nadzwyczajnym profesorem. Obejmuje równocześnie prof. Bruchnalski kierownictwo seminaryum po prof. Pilacie, a nikt nie wątpi, że będzie godnym jego następcą i że uda mu się wychować cały szereg poważnych pracowników, zdolnych do posuwania naprzód nauki polskiej.

Dla uzupełnienia tego krótkiego życiorysu prof. Bruchnalskiego zaznaczyć należy, że do niedawna był prezesem Tow. literackiego im Mickiewicza



Polska redakcya pod opieką Moskali: Żandarmi stojący na straży przed redakcyą „Gońca" w Warszawie podczas demonstracyi.

i należał do redakcyi „Pamiętnika„ tegoż towarzystwa.

W numerze dzisiejszym podajemy portret prof. Bruchnalskiego.

Polska redakcya pod opieką Moskali.

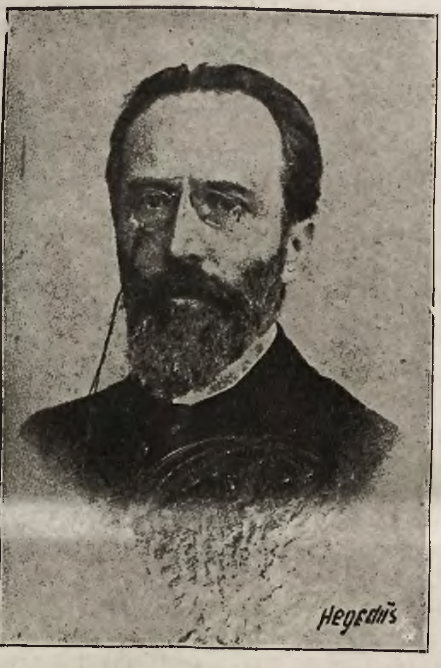
Rewolucya w Rosyi, mająca w historyi nie mniejsze znaczenie, jak rewolucya francuska, wywołała w całym świecie olbrzymie wrażenie, a tembardziej u nas, w tej części Polski, która najwięcej miała swobód ze wszystkich zaborów. W Królestwie polskiem, jęczącem najbardziej w śmiertelnym ucisku moskiewskiego niedźwiedzia, wrażenie to odbić się musiało w sposób jaskrawszy. Wszystkie pisma polskie zajęły wobec rewolucyi pewne określone stanowisko. Z pism galicyjskich jedynie konserwatyści i narodowi demokraci, ze swoim organem „Słowem polskiem“ na czele stanęli przeciw ogólnemu prądowi. „Słowo polskie“ reprezentujące w Galicyi kierunek wszechpolski zajęło zwłaszcza wobec strejku młodzieży szkolnej w Królestwie stanowisko tak wsteczne, reakcyjne i poprostu niezrozumiałe, poczęło na strejk i na całą rewolucyę rzucać takie gromy, że wywołało ogólne przeciw sobie oburzenie. A lwowski organ wszechpolaków pozyskał w czasie rewolucyi bratnie pismo w Królestwie, mianowicie „Gońca“. Pismo to, z początku świstek brukowy, zadrukowywany morderstwami i różnemi fantastycznemi historyami, polujący na sensacye, wyrobiło sobie w krótkim czasie olbrzymią poczytność.

W lutym b. r. w składzie redakcyi „Gońca“ nastąpił rozłam. Właśnie w tym czasie rozpoczęła się właściwa rewolucya. Pewnego dnia od komitetu rewolucyjnego wyszło hasło strejku powszechnego. Wszystkie fabryki stanęły, stanęły nawet tramwaje, przestali więc pracować drukarze i zecerzy, którzy, jako klasa robotniczą najbardziej uświadomiona, stali faktycznie na czele ruchu rewolucyjnego. I wtedy zaszedł fakt oburzający. Wszystkie redakcye pism polskich pogodziły się ze strejkiem, tylko jeden redaktor „Gońca“ zawezwał na pomoc kozaków, którzy stojąc z nahajkami przy kasztach, groźbą zmuszali zecerów do pracy. Fakt ten wywołał w całej Warszawie niebywałe oburzenie i to było, zdaje się powodem, że wszyscy współpracownicy „Gońca“ zgłosili swe dymisye i opuścili redakcyę.

Ale „Goniec“ nie upadł. Naprędce zorganizowano nową redakcye, pismo przeszło w ręce kliki wszechpolaków i zajęło wobec rewolucyi stanowisko takiesame, jak we Lwowie „Słowo polskie“, stanowisko jątrzące rewolucyonistów, oburzające cały uczciwie myślący ogół. Nie potrzeba dodawać, że o ile wśród ludności Warszawy „Goniec“ zyskiwał sobie coraz gorszą opinię, o tyle cieszył się coraz większą łaską, czynowników rosyjskich.



Sejm galicyjski: Albin Rayski, prezes klubu demokratycznego w sejmie galicyjskim.



Sejm galicyjski: Dr. Tadeusz Rutowski, poseł na Sejm.

Kiedy po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego w Warszawie, rozpoczęły się znowu demonstracye rewolucyjne, gdyż manifest ten nie zadowolnił walczących o wolność, redakcya „Gońca“ obawiając się, by w czasie demonstracyi rewolucyoniści nie chcieli pomścić się za wszystkie sprawki na redakcyi, zawezwała znowu na pomoc kozaków. Tych im wprawdzie nie dano, ale przysłano żandarmów, którzy strzegli, aby lokal „Gońca“ nie został uszkodzony. To postępowanie oburzyło do żywego całe społeczeństwo, a wszechpolakom zdjęło maskę z twarzy. Dzisiaj już wiadomo, co to są — wszechpolacy.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok ilustracyę, przedstawiającą żandarmów rosyjskich, strzegących lokalu redakcyi „Gońca“ w Warszawie.

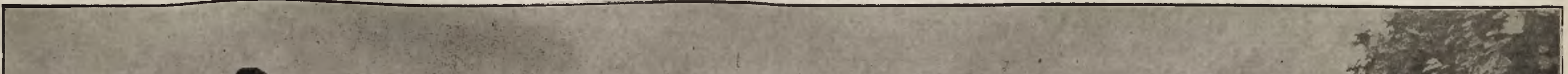
Sejm galicyjski.

W przeciwieństwie do skonsolidowanej, zorganizowanej, zawsze solidarnie i ławą idącej prawicy, przedstawia lewa strona izby sejmowej smutny obraz dezorganizacyi i okropnego „bezhołowia“. Wskutek tego oczywiście lewica nie jest w stanie przełamać możnego wpływu konserwy, nie może się nigdy zdobyć na akt męskiej i skutecznej opozycyi, którą zresztą w całem tego słowa znaczeniu, reprezentuje w sejmie tylko nieliczny klub ludowców i Rusini.

V. Stronnictwo demokratyczne.

Najliczniejszy w izbie, ale i najbardziej rozbity klub. Ciąży nad nim jakiś fatalizm, uniemożliwiający organizacyę stronnictwa, mimo, iż usiłowań w tym kierunku nigdy nie brakło. Próbowali tego ś. p. Romanowicz i dr. Rutowski, stworzyli głośno reklamowane stronnictwo „skoncentrowanych“ demokratów, „koncentracya“ ta jednak była zjawiskiem efemerycznem — rozpadła się sama i spowodowała rozłam w całem stronnictwie sejmowem demokratycznem. Próbował potem zjednoczyć rozluźnioną demokracyę poseł Głąbiński— ale i te usiłowania spełzły na niczem. I nawet trudno, aby klub, na który składają się tak bardzo pod względem politycznym między sobą różniące się żywioły demokratyczne, mógł wogóle szczerze i naprawdę się zorganizować. Nie można bowiem zapominać, że w klubie tym "tkwią" tacy demokraci, jak p. Albin Rayski, człowiek niewątpliwie dzielny, ale który zarówno z racyi swej pozycyi społecznej — jest właścicielem dóbr — jak z racyi swych przekonań, jest wszystkiem innem, tylko nie demokratą, jak osławiony z powodu swoich „koziołków“ politycznych, obecny wiceprezydent Lwowa dr. Rutowski, jak były prezydent Lwowa dr. Małachowski i jak cały szereg innych osobistości, demokratów — proszę wybaczyć wyra-

(Dalszy ciąg artykułu na str. 12).



Ustąpienie radcy dworu Moraczewskiego: Uczestnicy zjazdu na cześć ustępującego szefa departamentu technicznego. + Radca dworu Moraczewski. Fot. T. Bahrynowicz. Lwów.

CÓRKA ŻEBRACZKI.

Romans kryminalny.

Z FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁ J. R.

7 (Ciąg dalszy).

Ernestyna otarła pot z czoła.

— Nie umiesz pan rozwiązywać zagadek, o tem już słyszałam — odparła.

— Niechże mi więc pani powie, co to ma za związek z miłością?

— Wymienię panu dwa imiona, a już pan będziesz wiedział wszystko: Jan i Laura.

Hrabia zerwał się.

— Jan, to byłby mój syn — ale Laura, któż to jest?

— To jest ta piękna pokojówka hrabianki Wilmy.

I teraz w wymownych słowach odmalowała hrabiemu serdeczne pożegnanie między Janem i Laurą, jakiego świadkiem była jedna z pokojówek, która naturalnie natychmiast opowiedziała to gospodyni.

— Ściskali się, całowali i gruchali, jak dwa gołąbki — kończyła Ernestyna — a panna Laura tak się nawet tem pożegnaniem wzruszyła, że aż łkała w ramionach hrabiego.

Hrabia, słuchając tego opowiadania, z początku się uśmiechał; później jednak spospępniał, a w oczach zagorzały mu jakieś dzikie ognie.

W duszy jego wzbudziło się przeczucie prawdy i cały związek wszystkich rzeczy stał jasno przed jego oczyma. Wkrótce jednak zrobił obojętną minę i rzekł:

— Może to nie bardzo dobrze, że młoda kobieta, która tu dopiero przyszła, odrazu zaczyna się bawić w miłostki. Ale młodość ma swoje prawa i takie grzeszki należy jej zawsze wybaczać.

Ernestyna poczęła trząść swą ogromną głową.

— Że pan hrabia tak się na tę sprawę zapatruje, to już rzecz pana hrabiego; ja zaś jestem zdania, że coś podobnego w naszym domu pod żadnym warunkiem nie może być cierpiane!

Jej tłusta, rumiana twarz, na której znać było zmysłowe zwyrodnienie, przybrała jakiś nieokreślony wyraz.

Hrabia pospieszył, aby ją uspokoić.

— Zostaw ich pani w spokoju, panno Ernestyno. Jak tylko syn mój powróci, to ja mu powiem kazanie.

Ernestyna oburzyła się.

— Jakto, więc pan chcesz tak długo czekać?

— No, a cóż mam zrobić?

— Natychmiast tę kobietę wypędzić z domu!

— To nie można. Dla prostego gadania, może dla bajek i plotek, nie mogę młodej kobiecie robić takiej przykrości, nie mogę jej kompromitować.

— To nie są plotki, ale prawda; Lena widziała, jak się oboje ściskali i całowali. Ogień więc goreje teraz z całą mocą i jeżeli pan odrazu nie weźmiesz się do zagaszenia go, to w najbliższym czasie płomienie dachu dosięgną.

Wstała zła i mrucząc, wyszła z pokoju.

Hrabia patrzał za nią z uśmiechem. Potem jednak i on wstał i począł chodzić po komnacie.

— Więc tak — mówił sam do siebie — ta domniemana para zakochanych, to już oddawna małżeństwo, a Ernestyna niema nawet pojęcia, jaką ważną przyniosła mi wiadomość.

Stanął zamyślony przy oknie.

— Oni mi wszyscy dali psztyczka w nos — mówił półgłosem — ale się jednak przeliczyli. Tak, tak, wezmę się teraz na dobre do roboty i bieg wypadków na nowe pchnę tory. Jeszcze nie jest zapóźno i wszystko może — nie może, ale będzie dobrze!

Wyszedł na chwilę z pokoju, ale zaraz powrócił, gotowy do drogi.

— A teraz naprzód do młynarza. Muszę go wybadać, skąd on to wyłowił tę swoją piękną siostrzenicę.

Z temi słowy opuścił pokój.

Było to na drugi dzień wieczór.

Hrabianka Wilma siedziała ze swoją pokojówką na tarasie i zabawiała się wesołą rozmową.

Była ona, jak zawsze w najlepszym humorze i przedstawiała swojej powierniczce obraz przyszłego życia, jak ona, szczęśliwa narzeczona, je sobie przedstawiała.

Zaraz po ślubie chciała więc ze swoim Janem wyjechać w długą podróż a mianowicie do Szwajcaryi, Niemiec, Włoch, a prawdopodobnie i do Egiptu.

— Ja przecież jeszcze nic świata nie widziałam — rzekła w końcu — i tęsknię poprostu za tem, żeby módz zobaczyć coś, co leży po za obrębem naszego hrabstwa.

— Podróż poślubna da pani najpiękniejszą sposobność po temu — zauważyła Laura ze smutnym uśmiechem.

— Pani naturalnie, pojedzie z nami, panno Lauro — rozumie się, musi nam pani towarzyszyć — dodała z naciskiem, nie znoszącym oporu.

Zjawił się służący z wieczorną pocztą i obie młode kobiety sięgnęły szybko po gazety. Toż tam było zawsze coś z wielkiego świata, do którego hrabianka Wilma tak tęskniła.

Największą ciekawość u obydwóch pięknych cór Ewy wzbudzała lokalna kronika paryska.

Już długą chwilę siedziały, zatopione w tej interesującej lekturze, kiedy nagle hrabianka Wilma wydała okrzyk zdziwienia.

— Ejże, cóż tam takiego? — zapytała Laura, patrząc na nią.

— Jest tu jedno ogłoszenie, które może pani nie będzie interesować...

— A o cóż chodzi?

— Chodzi o — — niech pani słucha, ja to pani przeczytam.

— Ślicznie dziękuję, hrabianko!

Młoda hrabianka przysunęła się do Laury i zaczęła czytać:

„Ogłoszenie!

Przed kilkunasty laty rządca hrabiego Mironeau, Franciszek Bernere i jego żona, Teresa Bernere, po przeprowadzonem śledztwie w sprawie zamordowania hrabiego Hugona Mironeau, zostali uznani winnymi i skazani pierwszy na śmierć, druga na kilkoletnie więzienie.

Franciszek Bernere aż do ostatniej chwili, nawet w obliczu śmierci na szafocie głosił, że jest niewinny, a teraz wyszły na jaw pewne dowody, stwierdzające, że nieszczęśliwy ten człowiek padł wtedy rzeczywiście ofiarą pomyłki sądowej.

Ze strony władz podjęte już zostały kroki, zmierzające do rewizyi procesu i prawdopodobnie już najbliższa przyszłość zedrze zasłonę z tej tajemniczej zbrodni i ukaże ją światu w świetle prawdy.

Jak wiadomo, małżeństwo Bernere mieli wtedy, kiedy ich tak strasznie dosięgła kara losu, dwoje dzieci, a mianowicie syna, w wieku najwyżej pięć lat i córkę dwuletnią. Dzieci te, Henryk i Gizela, zostały oddane na wychowanie i jeżeli do dziś dnia jeszcze żyją, to doszły teraz właśnie do wieku, w którym człowiek musi zacząć myśleć sam o swojej przyszłości.

Mając na względzie straszny los wspomnianych wyżej dzieci, które musiały odpokutować za winy ani przez nie, ani przez ich rodziców prawdopodobnie nie popełnione, powziął pewien litościwy człowiek zamiar, ażeby się zająć z całych sił temi dziećmi i tak moralnie, jak i materyalnie zająć się ich rehabilitacyą.

Na tem miejscu uprasza się więc Henryka i Gizelę Bernere, ażeby podali swoje adresy wraz z bliższymi szczegółami pod literami „D. H. 100" poste restante na głównej poczcie w Paryżu".

Hrabianka Wilma, zajęta czytaniem, nie zauważyła, jak gwałtowne wrażenie wywarły na jej towarzyszce już pierwsze dwa słowa ogłoszenia. Piękna jej twarz to pokrywała się rumieńcem, to znowu bladła, widać było na niej dokładnie burzę, jaka w jej sercu gorzała.

Kiedy hrabianka czytać skończyła, zdołała już Laura, choć z trudem, się uspokoić.

— Cóż pani myśli o tej historyi?

— Zdaje się być równie smutną, jak prawdziwą — odparła Laura, biorąc gazetę i rzucając okiem na ogłoszenie. Długi czas patrzała na nie, wreszcie odłożyła gazetę na bok.

W tej chwili stary hrabia pojawił się na tarasie.

Nie było go w domu prawie cały dzień, ale to nikogo nie dziwiło. Zdarzało się to bowiem nieraz, że zajęty czy to gospodarstwem, czy swojemi interesami, nie był dłuższy czas w zamku. Po powrocie bywał zazwyczaj bardzo wesoły i w najlepszym humorze.

Dziś było inaczej. Na jego żółtej twarzy rozsiadła się jakaś ciemna chmura, posępnym ogniem błyszczały mu oczy, które zdawały się rzucać złowróżbne pioruny, zwłaszcza wtedy, kiedy się zwracały na pokojówkę hrabianki.

Laura czuła instynktownie, że ona jest przyczyną tego rozdrażnienia hrabiego. Źle i obco było jej w towarzystwie tego człowieka, który patrzał na nią często jakimś dziwnym, a ile w każdym razie nic dobrego nie wróżącym wzrokiem. Ponieważ zaś hrabia, rozmawiając wesoło z Wilmą, stale ją ignorował, ogarnęło ją dręczące uczucie, że ona tutaj, jako trzecia osoba, nie jest wcale potrzebną. Poprosiła więc hrabianki, by jej pozwoliła odejść, na co się ta zgodziła.

Laura odeszła i na cały wieczór zamknęła się w swym pokoju. Nie poszła nawet na kolacyę, wymawiając się bólem głowy, jakby przeczuwała, że stary hrabia coś przeciw niej knuje.

W rzeczywistości ten dostojny zbrodniarz był popołudniu w zamku Preneste i zamówił tam miejsce dla drugiej „pacyentki". Przedtem zaś odwiedził młynarza, który, przyciśnięty przezeń do muru, wyśpiewał całą prawdę, że mianowicie młodą kobietę przywiódł do zamku hrabia Jan i nakazał co do niej zachować najgłębsze milczenie.

W ten sposób opadła zasłona i stary hrabia wiedział już na pewne, że domniemana Laura Materne była nikim innym, tylko Gizelą Bernere, obecnie żoną hrabiego Jana Mironeau.

W jego oczach wprawdzie to małżeństwo jego syna nie miało najmniejszego znaczenia, gdyż był przekonany, że je jednym zamachem unicestwi.

— Jak tylko tę kobietę usunie się z powierzchni — mówił sam do siebie — ta cała farsa małżeńska się skończy i mój syn będzie znowu wolny. Potem ożeni się z Wilmą i wszystko będzie w porządku.

Załatwiwszy więc sprawę w Talmoore, powrócił do domu w bardzo dobrym humorze.

Po kolacyi rozmawiał jeszcze jakiś czas z zaufanymi ludźmi, których hojnie złotem obdarzył na pożegnanie.

Temsamem los Laury był rozstrzygnięty. Miała ona podzielić los pokojówki Klary.

Zegar wieżowy wydzwonił właśnie dwunastą o północy.

W tej samej chwili wynurzyły się na kurytarzu pierwszego piętra z ciemności dwie jakieś postacie, które na palcach podeszły cichutko ku jednym z drzwi.

— Więc ona mieszka w tym pokoju? — zapytał jeden.

Drugi skinął głową.

— Z pewnością musiała się zamknąć, więc się tam nie dostaniemy.

— O tem zawczasu pomyślałem, patrz!

Otworzył wytrychem drzwi.

— Teraz uwaga! — szepnął i obydwaj weszli do przedpokoju, a odsunąwszy kotary, do pokoju.

— Tu, na lewo, jest sypialnia; chodź za mną, a przygotuj worek, aby go, jak będzie potrzeba, zarzucić panience na głowę.

— Chwyć ją jeno porządnie za grdykę, żeby nawet krzyknąć nie mogła.

— Ty mi nie zwracaj uwagi; ja już sam będę wiedział, jak ją mam zmusić do milczenia.

Idący naprzód, uchylił nieco drzwi i obydwaj weszli do sypialni.

Był to mały pokoik z jednem oknem, w którem była spuszczona żaluzya, a wskutek tego panowała w pokoju zupełna ciemność.

Przewodnik pochwycił za rękę wspólnika swego haniebnego czynu.

— Naprzód! Na prawo przy ścianie stoi łóżko.

Podobni drapieżnym zwierzętom, rzucającym się na upatrzoną zdobycz, skoczyli obydwaj złoczyńcy ku łóżku.

Głośne przekleństwo, krzyk i potem znowu się uciszyło.

Łóżko było puste!

— Uciekła, a nam przepadła obiecana nagroda! Do kroćset! — zaklął jeden z bandytów.

Drugi zapalił zapałkę, świecił pod łóżkiem, zaglądał do każdego kąta, ale tej, której szukał, nie znalazł.

Klnąc i złorzecząc, wyszły te obie zbrodnicze kreatury starego hrabiego z pokoju.

Na drugi dzień rano gruchła po całym zamku wieść, że pokojówka hrabianki Wilmy uciekła.

— Widzi pan, panie hrabio — rzekła gospodyni, znalazłszy się ze starym hrabią sam na sam — piękna turkaweczka uciekła ze swoim gołąbkiem.

— Z czego to pani wnosisz?

— Jestem mocno przekonana, że ci dwoje od dawna mieli się ku sobie i może już teraz znajdują się w drodze do Hamburga, aby wyjechać do Ameryki.

— A ja sądzę co innego — znam mego syna lepiej jak pani i wiem, że jeszcze do tego stopnia nie postradał zmysłów, żeby się puszczać na takie rzeczy.

Skinął ręką i dał jej do zrozumienia, że rozmowa skończona.

Zostawszy sam, podparł głowę ręką i pogrążył się w myślach.

— Czyżby rzeczywiście na świecie była sprawiedliwość? — rzekł wreszcie, jakby budząc się ze snu.

Twarz mu zbladła i widać było na niej wewnętrzną mękę przestraszonego sumienia, które nie zna wcale żalu ani skruchy, ale jedynie drży przed następstwami.

* * *

Hrabia Jan Mironeau stanął w hotelu, leżącym w centrum Paryża.

Była godzina może już dziesiąta rano, a hrabia był jeszcze w swoim pokoju, który wynajął na kilka dni. Był widocznie czemś zaniepokojony, bo chodził po pokoju, to znowu siadał, brał gazety do ręki, to znowu je odrzucał, wreszcie podszedł do okna i począł bębnić palcami po szybie.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi. Wszedł służący.

— List, proszę pana hrabiego.

— Z głównej poczty?

— Tak jest, przecież mnie jaśnie pan posłał na główną pocztę.

Jan chwycił list skwapliwie.

— D. H. 100! — szeptał wzruszony.

Dał służącemu franka, poczem usiadł przy stole i wyjął z kieszeni scyzoryk.

— To okrągłe, ładne pismo zdradza rękę kobiecą, a więc list pochodzi od córki Bernere'a. Czemuż się jednak i syn nie zgłosił? Czyżby już nie żył?

To mówiąc, rozcinał powoli kopertę, tak ostrożnie, jakby się obawiał, że nieostrożnym ruchem może zranić żyjącą istotę.

Wyjął z koperty kartkę papieru, na której były tylko te słowa:

„Proszę o dalsze szczegóły. Poste restante G. B. 100.

Gizela Bernere".

— Kobieta ta musiała odebrać wyższe wykształcenie — mówił Jan sam do siebie — to poprawne, prześliczne pismo jest tego najlepszym dowodem.

Podparł głowę rękoma i wpatrzył się w list; na jego pięknem, męskiem obliczu malowało się głębokie wzruszenie.

Nie widział jej nigdy, tej córki nieszczęśliwego małżeństwa, któremu jego ojciec tak straszną wyrządził krzywdę, ale wyobraźnia jego przedstawiała mu w całej krasie postać młodej dziewczyny, którą w dzieciństwie już tak straszny los spotkał. Oczyma duszy widział Gizelę Bernere, smutną, wiotką i niebiańsko-piękną, widział jej twarz, na której odbijała się dusza szlachetna i serce niewinne i czyste. I ona zwracała się doń, chociaż go zupełnie nie znała, z pełnem zaufaniem. Widział, jak w chwili, kiedy pisała ten list, pierś jej faluje wezbrana radosną nadzieją, że w tym nieznajomym znajdzie przyjaciela, przewodnika i doradcę.

Kiedy tak rozmyślał, serce poczęło mu bić coraz szybciej, krew uderzyła mu do głowy, a z oczu spłynęły mu dwie wielkie, czyste łzy.

Złożył ręce jak do modlitwy.

— Niech mnie Bóg ciężko skarze — zawołał — jeżelibym zawiódł to szlachetne zaufanie i nie wytężył wszystkich sił, aby ciebie, Gizelo, wprowadzić na nowo do tego raju szczęścia, z którego cię straszny los wypędził. Los ci wydarł rodziców, osierocił i wydał na łup nędzy; ja zaś duszę i ciało poświęcę i nie spocznę póty, póki ci nie zapewnię szczęścia, któreby ci choć w części wynagrodziło przebyte cierpienia.

Gorącemi wargi ucałował jej list i przycisnął go do piersi; poczem zabrał się do pisania odpowiedzi. Pisał w ten sposób:

„Łaskawa Pani!

List pani otrzymałem przed chwileczką i zaraz pospieszam pani donieść, że celem wzajemnego osobistego poznania się naszego przy pierwszem spotkaniu, uznałem za stosowne postanowić, co następuje:

Może pani będzie łaskawa jutro o godzinie czwartej popołudniu zjawić się u adwokata dra Girarda, przy ulicy Condé pod numerem 23 i po okazaniu tego listu przedstawić mu się.

Ja przygotuję adwokata, który jest moim osobistym przyjacielem, na wizytę pani, może pani więc być pewna uprzejmego przyjęcia.

Gdyby pani ten list dostała zapóźno i nie mogła się tam stawić w oznaczonej porze, to może pani będzie tak dobra udać się nawet później pod wskazanym adresem, gdzie się pani dowie bliższych szczegółów.

Zapewniając panią o mojej wiernej przyjaźni, kreślę się w zupełności oddany na usługi pani

Karol Cronier, prywatysta".

Roześmiał się.

— Karol Cronier brzmi lepiej i więcej zachęcająco a przynajmniej nie tak odstraszająco, jak Jan hrabia Mironeau. Gizela będzie mieć z pewnością większe zaufanie do starego, jak sobie wyobrażał, prywatysty, aniżeli do dumnego szlachcica, jakiegoby się we mnie domyślała.

Przeczytał list raz jeszcze, włożył do koperty, zapieczętował i wypisał podany adres.

— Tak, teraz jeszcze przylepię markę i sam odniosę na główną pocztę. Na wszystko w świecie tego listu nie mógłbym powierzyć nikomu.

W kilka minut później wyszedł z hotelu.

Wrzuciwszy list do skrzynki, udał się wprost na ulicę Condé, do swego przyjaciela, adwokata dra Girarda.

Wieczór, położywszy się do łóżka, marzył ciągle i to wyłącznie tylko o swojej Gizeli.

Raz widział ją jako małe, biedne dziewczątko, nędznie odziane, bose i z rozczochraną czupryną, biegnące wśród deszczu i burzy. Zdawało mu się, że maleństwo to, drżące ze zimna, obejmuje w ramiona i tuli do siebie i chucha na jej różowe od zimna rączki, aby je ogrzać.

To znowu zdało mu się, że był w jakimś wielkim, rajskim ogrodzie, a ku niemu szła postać dziewicy, w której rozpoznał — Gizelę. I chociaż widział ją po raz pierwszy w życiu, jednak czuł, że tę prześliczną twarz zna od dzieciństwa i dobrze i słodko mu było pod spojrzeniem tych niebieskich, błyszczących oczu dziewczęcych.

Zdało mu się, że Gizela ma w ręce wspaniały bukiet.

— Ach, Gizelo, daruj mi, proszę, jeden kwiatek — prosił.

A ona podała mu świeżo rozkwitłą różę.

— Jaka piękna, jaka piękna! — wołał zachwycony, promieniejąc od szczęścia.

Gizela zaś patrzyła na niego z uśmiechem anioła.

— Czy ty wiesz, co ja ci darowałam? — spytała.

— Wiem, najpiękniejszy kwiat z ogrodu Boga — odparł.

— Wiesz, jak się ten kwiat zowie.

— Wiem, róża.

— Nie, tak się nie zowie?

— A jak?

— Symbol miłości.

— Symbol miłości! — powtórzył ucieszony i przycisnął różę do ust.

W tej chwili z piersi jego wydarł się straszny krzyk.

Zbudził się. Sięgnął ręką do ust, na których czuł jeszcze ból, jakby się ukłół był cierniem tej róży. Wyskoczył z łóżka i począł się szybko ubierać. Była już godzina dziewiąta.

Obraz, widziany w sennem marzeniu, stał jeszcze ciągle przed jego oczyma.

— Szczególna rzecz — rzekł wreszcie — że podała mi właśnie kwiat róży a nie inny i powiedziała, że to jest symbol miłości.

Uśmiech szczęścia zakwitł na jego ustach.

— Czyżby to wreszcie miał być sen proroczy? Jednak trzeba się uspokoić. Nie chcę, żeby moje serce zajęło się tem sennem widziadłem, bo może zapłonęłaby w niem miłość ku Gizeli, a przecież...

Objął głowę rękoma, bo czuł zawrót, jakgdyby mu się w mózgu kamień młyński obracał.

Wyszedł z hotelu i zmieszał się z tłumem ulicznym. Ale i tu nie znalazł spokoju. W każdej kobiecie, którą spotkał, widział Gizelę, a o swojej jedynej, dobrej i pięknej jak anioł żonie, z którą się niedawno rozstał, zapomniał prawie zupełnie.

Czasami zdawało mu się, że Laura i Gizela zlewają się razem i tworzą jedną postać.

Z uderzeniem godziny czwartej stał już przed drzwiami adwokata. Zadzwonił i w parę chwil później znalazł się wobec przyjaciela, który mu serdecznie ściskał rękę.

Upłynęło już kilka minut, a hrabia nie mógł się zdobyć na to, aby zapytać go o Gizelę. Obawiał się rozczarowania i tylko pytający wzrok zwrócony miał na jowialną twarz uczonego prawnika, który się jakoś dziwnie uśmiechał.

— Muszę ci pogratulować, mój przyjacielu, a zgadniesz chyba, czego.

— Więc ona już tu jest? — zawołał Jan radośnie.

— Od dziesięciu minut.

— Gdzie? — gdzie?

— W salonie; ja właśnie od niej wróciłem.

— Cóż to za kobieta?

Adwokat przetarł ręką czoło. Usiłował w ten sposób zachować pozory obojętności i zamaskować wewnętrzne wzruszenie.

— Czy piękna, powabna? — pytał niecierpliwie hrabia.

— Piękna, powabna! — powtórzył adwokat. — Jakżeż słabo brzmią te słowa, jeżeli się mają odnosić do takiej istoty, która jest najwyższym ideałem kobiecej doskonałości.

Chwycił hrabiego za rękę i dodał z uniesieniem:

— Twoja Gizela to nie kobieta — to anioł!

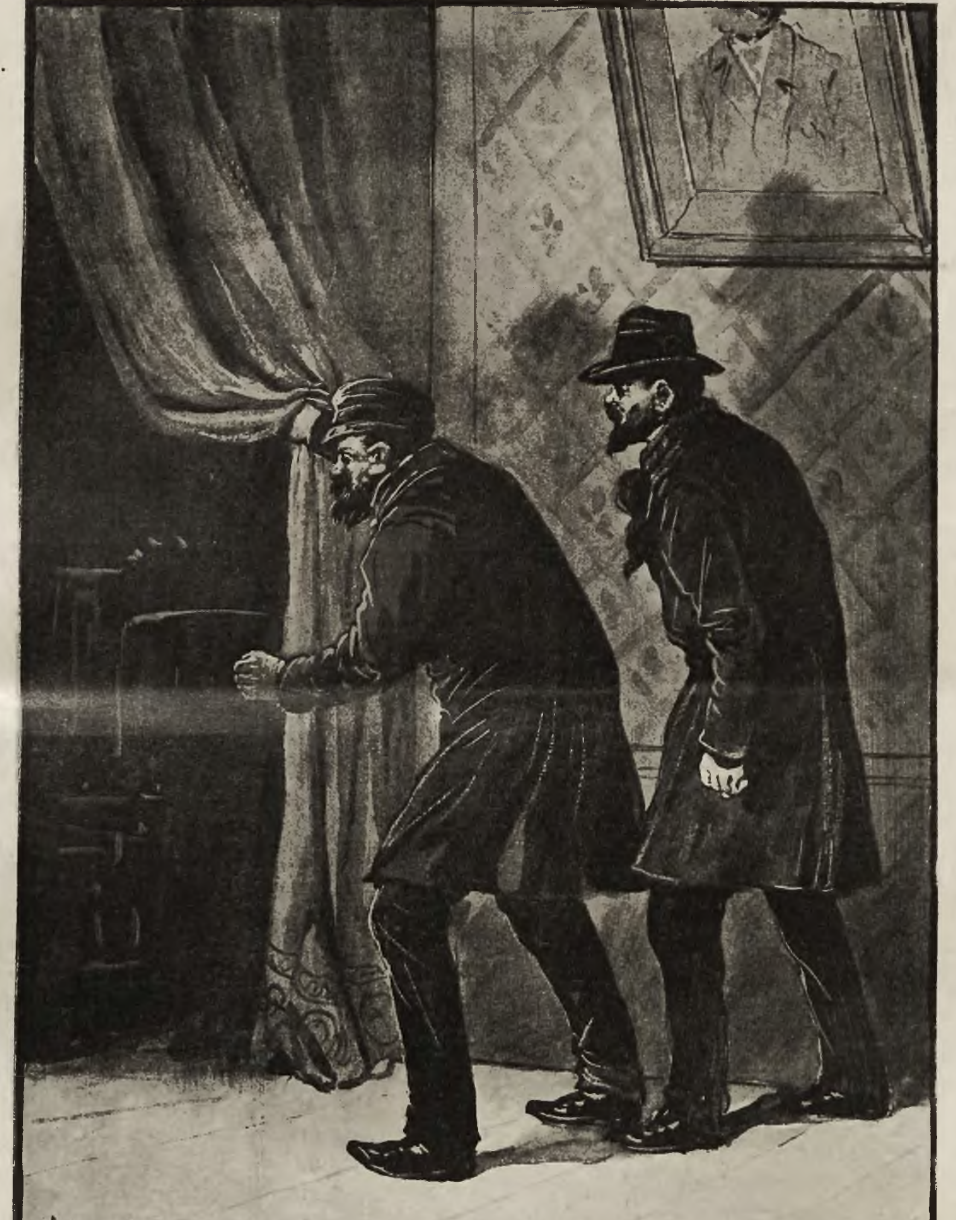
— Majaczysz!...

— Bardzo możliwe. I życzę ci, ażebyś i ty nie począł majaczyć, kiedy ją zobaczysz. Trzymaj się, mój przyjacielu, pomnąc na to, że jesteś żonaty. Jakżeż, czy mam cię do niej zaprowadzić?

— Nie, nie — odparł żywo hrabia. — Pójdę sam. Twoja obecność by ją krępowała, a przecież musimy mówić otwarcie.

— Masz racyę — rzekł adwokat. — Idź sam. — Wskazał mu ręką drzwi do salonu, za któremi wkrótce hrabia znikł.

(Ciąg dalszy nastąpi).



— Teraz uwaga! — szepnął i obydwaj weszli do przedpokoju, a odsunąwszy kotary, do pokoju.

żenie się — gębą, ale nie sercem, nie przekonaniem.

W takiem otoczeniu trudna jest praca tych, którzyby chcieli, aby stronnictwo demokratyczne sejmowe, odegrało poważniejszą rolę, daremne wysiłki, aby ten klub zajmował w sprawach dziejowych stanowisko postępowe i demokratyczne. Jaskrawym tego przykładem jest choćby sprawa reformy wyborczej i stanowisko wobec niej stronnictwa demokratycznego. Wniosek posła Stapińskiego o reformę wyborczą, wniosek, który był kopią wniosku demokratów, dawniej przez nich wniesionego, nie zyskał poparcia klubu demokratycznego i *à limine* został odrzucony. Obecnie, gdy wołanie o powszechne prawo głosowania stało się zbyt głośne, gdy żądaniom ludu niepodobna się dłużej opierać bez gruntownej kompromitacyi, wnieśli demokraci projekt reformy ordynacyi wyborczej, ale tak poroniony, że go słusznie „pokraką“ nazwano. Połowiczność, ustępliwość, nieszczerość — oto charaktestyka tego wniosku. Inna rzecz, że prawicy sejmowej i ten nawet projekt wydaje się za radykalny i wprost wykluczoną jest rzeczą, by najbliższe wybory odbyły się na podstawie zreformowanej ordynacyi.

Ale to nie jedyny grzech stronnictwa demokratycznego; ma ono ich na swojem sumieniu politycznem więcej niż członków. Wszak bardzo często zdarza się, że część demokratów głosuje razem z prawicą przeciw wnioskom, stawianym — już nie przez ludowców — ale nawet przez innych członków stronnictwa demokratycznego.

Fatalny ten stan klubu jest tem bardziej pożałowania godnym, iż nie brak w nim kilku ludzi dzielnych w całem tego słowa znaczeniu, o głębokiem wykształceniu, parlamentarzystów i mówców niezrównanych. Jest tam poseł Rotter z Krakowa, szczery demokrata, wyborny mówca i znawca stosunków krajowych, jest dr. Głąbiński, człowiek najlepszych chęci i bardzo pracowity, jest taki dr. Kolischer, finansista i ekonomista wprost niepospolity, jest choćby i dr. Rutowski, człowiek — cokolwiekby się o jego przeszłości politycznej mówiło i myślało — niezaprzeczenie bardzo zdolny, a jako mówca, pod względem formy, nie wielu mający równych.



Sejm galicyjski: Dr. Stanisław Głąbiński, poseł na Sejm.

Aby jednak klub demokratyczny mógł w przyszłości odpowiedzieć swoim obowiązkom, aby mógł się pozbyć zaściankowości i swej zapleśniałości, muszą tam przy najbliższych wyborach wejść w poważnej liczbie szczerzy i prawdziwi demokraci, świadomi potrzeb kraju, chętni do pracy, której tak wiele potrzeba, aby Galicyę choć trochę ueropeizować.

W dzisiejszym numerze podajemy portrety prezesa klubu demokratycznego p. Albina Rayskiego. oraz posłów dra Rutowskiego i dra Głąbińskiego.

Ustąpienie radcy dworu Moraczewskiego.

Ustąpienie szefa pewnej gałęzi administracyi, przechodzi często bez wrażenia; zdarza się jednak, że ustąpienie to wywołuje szczery żal nietylko u podwładnych, ale i w szerokich kołach ogółu, gdy mianowicie ów szef swoją wiedzą, swym charakterem umiał pozyskać sobie szacunek i życzliwość. Takim właśnie szefem był radca dworu Maciej Cholewa Moraczewski, naczelnik departamentu technicznego w namiestnictwie galicyjskiem, o którego ustąpieniu d niosły niedawno dzienniki.

Urodzony w r. 1840 w Brodnicy w Księstwie Poznańskiem, uczęszczał do gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, a następnie na politechnikę w Berlinie. Po ukończeniu studyów pracował przez czas dłuższy w stronach rodzinnych, przy budowie kolei Bydgoskiej, potem w Szczecinie i innych miejscowościach, w r. 1876 zaś został powołany do Krakowa na stanowisko dyrektora miejskiego urzędu budowniczego. Bawiąc w Krakowie dał p. Moraczewski inicyatywę do założenia tow. techników w tem mieście. Po pięciu latach, więc



Z krwawych dni w Warszawie: Demonstranci niosą na czele pochodu trupa studenta gimnazyalnego, zabitego przez kozaka podczas demonstracyi.

w r. 1881, przeniósł się p. Moraczewski do Lwowa, a wstąpiwszy do służby rządowej, został wnet szefem departamentu technicznego, a następnie otrzymał tytuł i charakter radcy dworu. Obecnie stanowisko to opuścił z powodu podeszłego wieku i steranego zdrowia.

Działalność radcy Moraczewskiego nie ograniczała się na tem jednem polu pracy. Był on ponadto członkiem kilku komisyj egzaminacyjnych, ogłosił też wiele prac swoich drukiem, przeważnie w czasopismach technicznych, z większych zaś wspomnieć warto o książce pt. „O Malborgu", oraz o popularnem dziełku „O budowie zagród włościańskich", które wyszło nakładem Macierzy polskiej. Za udział w pracach międzynarodowej komisyi regulacyi Wisły, został p. Moraczewski oznaczony orderem św. Stanisława.

Wiadomość o ustąpieniu radcy dworu Moraczewskiego, przyjęli inżynierowie państwowi w całym kraju z żalem, a aby dać wyraz uczuciom przyjaźni i życzliwości dla swego przełożonego, zjechali się gremialnie do Lwowa i wzięli udział w uroczystem pożegnaniu go.

Ilustracya nasza przedstawia grupę uczestników tego zjazdu.

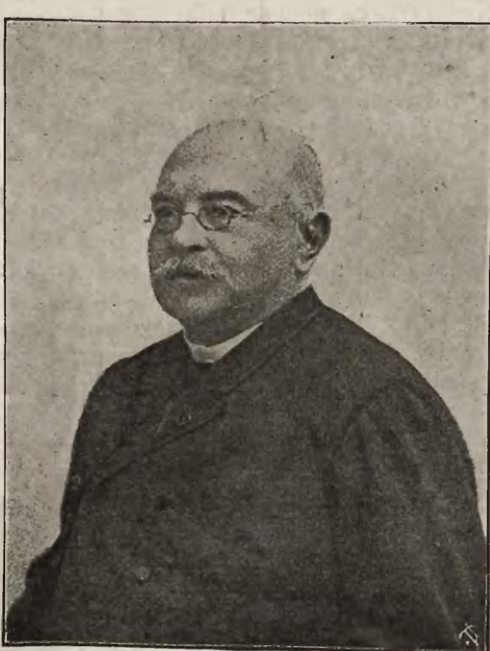
Z krwawych dni w Warszawie.

Jak było do przewidzenia, manifest carski, zapowiadający konstytucyę, przyjęła robotnicza partya socyalistyczna w Królestwie z niedowierzaniem i niechęcią. Manifest ten nie obiecywał tego wszystkiego, o co walczono, nie odpowiadał jeszcze w zupełności ofiarom, jakie w walce o wolność ponieśli robotnicy, ta masa, która podźwignąwszy się, zatrzęsła posadami caratu i zmusiła go do coraz większych ustępstw. Ale już to, co zapowiadał manifest konstytucyjny, było zdobyczą wielką. Olbrzymim rzeszom niewolników zabłysło bowiem słońce wolności, czerwone jeszcze od krwi pomordowanych w walce o wolność, promienne.

Wrażenie, jakie wywołał manifest z 30 października w Warszawie, było potężne. Cała ludność najrozmaitszych odcieni politycznych nawet, powstała jakby różdżką czarodziejską tknięta. Wolność — to magiczne słowo, którego tam dawniej nie wolno nawet było wymawiać, pojawiało się co chwila na ustach wszystkich. Tłumy rozentuzyazmowane wyległy na ulicę; podając sobie ręce, ściskając się i całując nieznajomi nawet, szli obok razem jak bracia, bo pierwszy raz poczuli, że są wolnymi braćmi jednego narodu. Wśród takiego uniesienia, takiej olbrzymiej radości, jaka miała miejsce we czwartek ubiegły w Warszawie, rozległy się naraz dzwony w kościołach katolickich, a z jednego wyszedł tłum ludzi, z księdzem niosącym krzyż na przodzie, ze śpiewem: „Boże, coś Polskę".... Zapał doszedł wtedy do szczytu. Jakby jakiś inny, świeży powiew nadziei powiał nad Warszawą, wszystkie piersi podniosły się i w powietrze wzbiła się potężnym chórem błagalna modlitwa „Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić panie", modlitwa, która skonała dopiero gdzieś u niebios progu. Utworzył się kolosalny pochód, złożony z ludzi wszystkich sfer, połączonych naraz jednem słowem „wolność" i szedł przez ulicę, jak rzeka, hucząca radością, ruchliwa i w blaskach słońca migocąca.

Ale kozacy, którzy wciąż jeszcze trzymali straż nad miastem, niezdołali zachować się biernie wobec tak potężnej narodowej demonstracyi. W czasie największego uniesienia padł z oddziału kozaków strzał w tłum i zabił na miejscu ucznia gimnazyalnego, biorącego udział w pochodzie. Tłum zamarł, zakołysał się i byłby na miazgę starł napastników, gdyby nie to, że dowódca ich zakomenderował nagle do odwrotu. Nie było czasu na szukanie zemsty. Postanowiono jeno oddać cześć jednej z ostatnich ofiar walącego się caratu.

Zwłoki zabitego gimnazyalisty, zbroczone krwią, wzięto na chusty i niesiono na czele pochodu jak żywe świadectwo kłamliwości i okrucieństwa rządu. Widok to był wspaniały. Nieprzeliczone tłumy, pełne zapału i gotowe iść zaraz na śmierć w obronie wolności, a na ich czele trup młodzieńca, który padł zgnieciony ostatniemi drganiami konającego



Śmierć Dragomirowa: Zmarły jenerał rosyjski Michał Iwanowicz Dragomirow.

kolosa-caryzmu. Modlitwa błagalna o wolność przestała w tej chwili płynąć ku niebu, a na jej miejsce wzbiła się potężna pieśń zemsty, zemsty za tyloletnie krzywdy i ucisku.

* * *

W uzupełnieniu artykułu podajemy ilustracyę, przestawiającą pochód demonstracyjny ze zwłokami zabitego ucznia na czele, po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego.

Demonstracya socyalistyczna we Lwowie.

Żyjemy w okresie ogólnego rozgorączkowania umysłów. Wypadki w Królestwie Polskiem i całej Rosyi, wypadki tak żywo nas obchodzące, bo dotykające naszych najżywotniejszych interesów, ruch narodowościowy na Węgrzech, wszystko to musiało wywrzeć ogromnie silny wpływ na umysły szerokich warstw ludności. To też pod wpływem wieści tak doniosłej wagi, ruch socyalny, w szczególności walka o powszechne prawo wyborcze, przybrały w ostatnich dniach charakter bardzo gwałtowny i ostry.

Ruch ten objawił się też w Krakowie i we Lwowie, a objawił się tłumnemi demonstracyami i krwawemi starciami z policyą. W niedzielę zwołano we Lwowie 14 zgromadzeń poufnych w stowarzyszeniach zawodowych i na wszystkich tych zgromadzeniach uchwalono ponownie żądanie powszechnego prawa wyborczego. Po zgromadzeniach zebrała się ludność robotnicza tłumnie pod kolumną Mickiewicza przy placu Maryackim. Tam wygłosił przemowę agitacyjną za reformą wyborczą jeden z wybitnych przywódców partyi socyalno-demokratycznej p. Hankiewicz. Już w czasie jego przemówienia przyszło do zajścia z policyą. Mianowicie obok mowcy rozwinięto czerwony sztandar, co oczywiście nie podobało się policyi. Urzędujący tedy komisarz wraz z żołnierzami, zabrał się energicznie do skonfiskowania tego sztandaru. Robotnicy jednak stawili opór i udało im się sztandar uratować. Z tryumfalnymi okrzykami ruszyła wówczas większa część demonstrantów, otaczając zwartą masą zagrożony sztandar, ulicą Karola Ludwika ku teatrowi, gdzie odbył się dalszy ciąg demonstracyi, czemu policya znowu daremnie usiłowała przeszkodzić. Z pod teatru pomaszerowali demonstranci pod gmach Kasy Oszczędności i stamtąd dopiero rozeszli się do domów.

W poniedziałek wieczór ponowiły się demonstracye we Lwowie i przybrały nawet bardzo groźny charakter. Po zgromadzeniu ludowem, w którem wzięła udział niebywała we Lwowie liczba uczestników, ruszył tłum olbrzymim pochodem do rynku, gdzie pod ratuszem po przemowie dr. Diamanda urządzono wielką demonstracyę. Przyszło do starcia z policyą, przyczem kilka osób raniono. Z trudem udało się przywódcom partyjnym zapobiedz dalszym zajściom i nakłonić demonstrantów do rozejścia się.

Ilustracya nasza przedstawia tłum demonstrantów. w chwili przemówienia p. Hankiewicza.



Fot. M. Münz. Lwów.

Demonstracya socyalistyczna we Lwowie: Tłum demonstrantów, zebrany przed kolumną Mickiewicza w chwili przemówienia p. Hankiewicza.



Zygzakiem.

Wielki dzień w Warszawie. — Czerwony sztandar i ofiary Dra Flataua. — Jeden z listów Angelusa o praktykach Dra Kisiela.

W barwach i światłach jesiennego pogodnego nieba, zaszumiały chorągwie kościelne i sztandary narodowe, z okien domów zwieszają się orły białe, dawno niewidziane ptaki, jakby na wyraju wielkiego dnia przebudzenia, ulicami miasta płynie stutysięczny tłum, nie w posępnem martwem milczeniu, jak dawniej bywało, nie ze ściśniętą piersią w oczekiwaniu zniewag i ofiar... Płynie lud co zwyciężył, lud, na którego czele z zapałem przekonania postępuje duchowieństwo, lud możny i swych praw do życia świadomy...

Rozbrzmiewa pieśń... polska pieśń, *Te Deum* narodowych nadziei, pieśń śpiewana jak modlitwa, hymn pojednania wszystkich ze wszystkimi... Nad głowami fali ludowej chwieją się chorągwie kościelne, kołyszą czerwono-białe sztandary, lecą białe polskie ptaki...

Sen to czy jawa?...

Taki dzień był w Warszawie!...

„Niech żyje polski lud, niech żyje polski robotnik, niech żyje Polska! Z zamętu wychodzi świat ducha", każdy okrzyk wyczuty tam jest i zrozumiany i pełen treści, każdy okrzyk tam na ulicach Warszawy to dogmat, program narodowego życia, dowód nieśmiertelnego bytu duchów, tryumf prawdy i dobra nad przemocą...

Szczęśliwi ci, którzy dożyli tego dnia, szczęśliwi ci, co go oglądali na oczy własne i było im dane iść w owym tłumie, co na ulicach Warszawy śpiewał i żył po polsku, po swojemu, w obliczu milczących szeregów rosyjskich żołnierzy, tak nagle temu tłumowi bliskich na drodze do wyzwolenia się z ucisku...

W dziejowym biegu polskiego życia a raczej w epoce stuletniego pogromu, ten onegdajszy pochód na ulicach Warszawy jest drugim wielkim dniem świadomości narodowej! Pierwszym był ów pogodny słoneczny ranek trzeciego maja, gdy z zamku królewskiego szedł pochód do kościoła św. Jana, aby wysłuchać królewskiej przysięgi na konstytucyą... I wtedy były chorągwie i sztandary i wtedy otucha i wiara zespalała serca i rozbrzmiewała pieśń... Nikt nie przeczuwał, że od owego dnia miała się dopiero rozpocząć próba dla budzącego się narodu, że od owego dnia miał naród przejść wszystkie szczeble nadziei i wszystkie załomy upadku, że miał nieraz wątpić i bluźnić, *„tracić rozum w mękach długich"* i skarżyć się bezsilnie zachodzącemu słońcu, „że i modlitwa nic nie może", że miał przejść całą kaźń zdrad własnych i cudzych...

A ktoby był wówczas, w dzień konstytucyi polskiej wiedział o tem co będzie, możeby zwątpił, że mimo wszystko zabłyśnie ten drugi dzień jesienny na niebie, ale po stokroć wiosenny w piersiach polskich, hasło do nowego życia, do nowej świadomej czynnej pracy, do odrodzenia społeczno-narodowego!... Ten dzień jest, wstał... Teraz żyć i działać, teraz czuwać, by sztandar polskich ideałów podnieść tak wysoko, aby go nie dosięgły zawiści i rozstroje...

Warszawa, serce Polski żywej, Polski nowej, zaczyna uderzać jędrnem zdrowem tętnem:

„Niech żyje Polski lud, niech żyje polski robotnik!"...

* * *

I tu u nas w Krakowie, minionej niedzieli przeżyliśmy dzień niezwykły. Odbył się pochód demonstracyjny za powszechnem głosowaniem, jeden z objawów niezadowolenia, które nurtuje i szerzy się oddawna w tem niby konstytucyjnem państwie, szarpanem bezcelową walką narodowości, miotanem jak statek, któremu brak steru czy sternika.

Pochód niedzielny w Krakowie, w którym brało udział kilkanaście tysięcy ludzi, zasługuje na uwagę także dlatego, że w każdym chyba zbudziło się przekonanie, że ruch za rozszerzeniem praw politycznych i zmianą form państwowo-społecznego życia, płynie już dziś potężną, huczącą falą, że fali tej zatrzymywać nie można a może i nie wolno, że nie w poprzek jej stawać, ale ująć ją zawczasu we wolne, szerokie, dobrze u brzegów zabezpieczone łożysko, aby pożytkiem dla ogółu a nie zniszczeniem się stała.

Tak każe zdrowy rozum i dobra wola. Kto czyni inaczej, czyni źle, zasługuje zaś już na miano szaleńca ten, kto pragnie zatrzymać żywioł parą rąk jednego człowieka...

Widownią takiego wydarzenia był Kraków ubiegłej niedzieli. Ofiarą padli urzędnicy policyi, ludzie powołani do pełnienia ciężkich obowiązków, wynagradzani za to nieraz niechęcią i nienawiścią ludu, którym się więc tem większe należą względy i tem większa opieka ze strony władzy, której służą.

Nad płynącą ulicami falą ludu podnosi się nagle sztandar czerwony. Lud od wieków kocha symbole. a nadewszystko chorągwie i sztandary. Komu mógł zawadzać ten sztandar, czyje naruszył prawa, jakiemu zagrażał porządkowi? O ten sztandar rozpoczyna się walka... Z jednej strony kilku komisarzy policyjnych, bez wojska, bez policyantów, których im dać należało, jeżeli już koniecznie mieli wykonać bezrozumny rozkaz i wydrzeć tłumowi chorągiew. Z drugiej strony tysięczny, pieśnią i zapałem rozgrzany tłum... Stało się co stać musiało.. Komisarz dr. Tomasik padł ciężko poraniony a istotnie należy uznać tę siłę rozwagi, która mimo roznamiętnienia, zdołała powstrzymać tłum od dokonania zbrodni na bezbronnym człowieku...

Ciężko poraniony, prawie ze śmiercią walczący dr. Tomasik, ojciec rodziny, jest ofiarą bezrozumu. Odpowiedzialność za to spada na dyrektora krakowskiej policyi p. Flataua.

P. Flatau z ganku, z daleka przypatrywał się pochodowi, zawsze ten sam: o bladej, bezmyślnej twarzy i sennych, zmęczonych oczach, z rękami w kieszeniach od spodni... Że urzędnicy policyi byli bici i szarpani, że mogła się tam dokonać zbrodnia — nie obchodziło nic — obywatela p. Flataua, który wtedy „nie był w urzędowaniu".

To są owoce systemu obsadzania odpowiedzialnych posad protegowanemi figurami, bez zastanowienia się nad tem, czy do pełnienia powierzonych sobie obowiązków dorośli i są zdolni.. Nie wiadomo istotnie, dlaczego przy wyborze człowieka na posadę dyrektora policyi w Krakowie decydowały nie względy zasługi, znajomości stosunków, taktu, przynależności do społeczeństwa — ale jakieś tajemnicze kwalifikacye nie bardzo jasnego... „urodzenia".

* * *

Z listów pozostawionych przez śp. Angelusa, najbardziej dla ogółu interesującym jest ten, który omawia szczegóły postępowania p. dra Kisiela w toku śledztwa sądowego. Nasuwa się pytanie, czy istotnie możliwem jest takie lekceważenie przepisów ustawy i wszelkich względów ludzkości, jakie za swój system przyjął sędzia śledczy dr. Kisiel i czy może być nadal tolerowany system wymuszeń przez pogróżki, stosowany do więźniów śledczych w tym celu, aby wydobyć od zmęczonych i znękanych „pożądane" zeznania?

Czy potem takie zeznania dają prawdziwy obraz sprawy, czy wyrok na takiej podstawie wydany, może odpowiadać sprawiedliwości i być godnym wyrazem powagi sądu i sędziów?

Dr Kisiel, z jednej strony groźbami skandalu w rodzinie, rewizyami u córki i krewnych śp. Angelusa, długiemi wyczerpującemi przesłuchaniami wydobywa — jak pisze Angelus — „przyznanie do win niepopełnionych", a z drugiej strony, rzecz niepojęta, ten sam surowy inkwizytor, łagodny jest jak baranek dla Małkowskiego, pozwala mu chodzić wolno, nawet uciec. Pan Kisiel, pisze Angelus, wiedział o zamierzonej ucieczce Małkowskiego, dostawał listy ostrzegające, podczas gdy ja byłem zamknięty i sam mi nawet mówił, że Małkowski ucieknie. Dziś, gdy rozważam to wszystko, przychodzę do przekonania, że p. Kisiel chciał, aby uciekł Małkowski, bo przez to byłem ja pozbawiony wielu dowodów mojej niewinności, zwłaszcza co do manipulacyi przy prolongatach zastawów. Tylko w ten sposób zrobił p. Kisiel z tego, co sama Prokuratorya uznała tylko za lichwę — zbrodnię oszustwa".

Że żale śp. Angelusa są uzasadnione, na to są inne jeszcze dowody. Tensam p. Kisiel, prowadząc śledztwo przeciw nadkomisarzowi Balickiemu, groźbą aresztowania chorej jego żony, usiłował na nim wymusić przyznanie do win niepopełnionych. Gdy to nie pomogło, torturował go rozmyślnie w ten sposób, że wzywał go już po wypuszczeniu z aresztu śledczego do przesłuchania rano około 11-tej i trzymał go na kurytarzu sądowym o głodzie do godziny 5-tej lub 6-tej wieczór. W tej metodzie było i złośliwe udręczenie, przez to, że aresztowany nie dostał ciepłej strawy i chęć zmożenia znękanego człowieka głodem... Ten sam p. Kisiel miał czoło odezwać się do radcy p. Swolkiena, kiedy ten okazywał nieszczęśliwemu p. Balickiemu należne mu ludzkie uczucia: „Pan, zdaje się, jesteś także wspólwinnym"... Byłoby to wszystko śmieszne, gdyby nie było ogromnie złe, bezdennie głupie a przez to bardzo niebezpieczne.

Nie daje się miecza w ręce szalonego. Ustawy muszą być przestrzegane i szanowane. A jeżeli u nas niedołęstwo nie potrafi usunąć nadużyć, pójdziemy gdzieindziej, tam, gdzie jest więcej siły i więcej poczucia obowiązku.

Najcięższy zarzut wreszcie, jaki spotyka ze strony ś. p. Angelusa dra Kisiela (o innych odnoszących się do działań i świństw brudnych i wstrętnych reportera — redaktora *„Czasu"* Hopcasa pomówimy innym razem) jest, że bezprawnie rozporządził się prywatnemi listami Angelusa.

Listy te muszą być i będą wydobyte. P. dr. Kisiel usunął je z aktów; — dlaczego, o tem innym razem. P dr. Kisiel nie miał do tego prawa, tak jak nie miał prawa do „skręcenia" prywatnej korespondencyi swego klienta, jego obrońca dr. Seinfeld. Dopóki rodzina śp. Angelusa nie będzie miała dowodu, że listy te zwrócono w myśl woli nieboszczyka, dopóty będzie je windykować. *Vide.*



Kącik humorystyczny.

Chybiona groźba.

Jeżeli do pierwszego pan mi nie zapłaci, to napiszę do ojca pańskiego, że mi się należy dwieście guldenów.

— Owszem. Więc też zaraz zamówię u pana garnitur na kredyt.

Złośliwie.

— Ja miałam dopiero cztery lata, jak zaczęłam mówić.

— Ale też pani sobie to teraz wynagradza.

Para odważnych.

Profesor: A więc, Janie, po przyjściu pani z miasta, powiesz, że wyszedłem i zabrałem klucz od zatrzasku, bo wrócę późno w nocy. Czy odważysz się to pani powiedzieć?

To tak.

— Podobno Władek zajmuje się teraz sprawami ciemnemi...

— Co? Chyba nie stał się złodziejem?

— No, to nie — tylko namiętnie fotografuje i przesiaduje ciągle w ciemnej kamerze.

Łączność.

— Podobno wstąpiłeś do wioślarzy, ty co tak nie cierpisz wody?

— Tak! Ale moja teściowa nie dawno utonęła.

Pantoflarz.

Pan domu: Dokąd pani w tym roku wyjeżdża, Joasiu?

Joasia: Do Ostendy.

Pan: A nie wiadomo ci czasem, czy ja jadę?

Proste.

Pacyent (hypohondryk): Już nie pozbędę się tego kataru! Wczoraj miałem zatkaną dziurkę lewą, dziś prawą. Co to może być?

Doktor: Nic prostszego! Wszak i nos chce mieć czasami jaką rozmaitość.

W sądzie.

Sędzia: Gdzie rozpoczęła się bijatyka?

Świadek: Na mojej głowie, prześwietny sądzie.

W trupie prowincyonalnej.

Aktor: Dyrektorze, daj choć kilka groszy. Nie myłem się od paru dni, bo nie mam na mydło.

Dyrektor: Nic nie szkodzi. — Dziś pan grasz Otella, a jutro dostaniesz na mydło.



Wiec lwowskich urzędników państw.: D. Sterzyński sekretarz wiecu.

Śmierć Dragomirowa.

Jednym z najbardziej popularnych wodzów armii rosyjskiej, był Michał Iwanowicz Dragomirow. Gdy wybuchła wojna z Japonią, wielu oficerów domagało się, ażeby Dragomirow objął naczelne dowództwo armii mandżurskiej. Posiadał on bowiem niesłychane zaufanie nietylko u oficerów, ale i u szeregowców, którzy go czcili jak ojca. Z powodu podeszłego wieku Dragomirow nie chciał przyjąć dowództwa nad armią rosyjską; nie pozwoliła mu na to choroba, jaka przed kilku miesiącami powaliła go na łoże boleści, z którego już nie powstał. W ubiegłym tygodniu umarł Dragomirow w Konotonie, w gubernii czernichowskiej.

Urodzony w roku 1830. Dragomirow odebrał wykształcenie wojskowe w petersburskiej akademii wojennej. Popularność pozyskał sobie już w czasie wojny rosyjsko-tureckiej w roku 1877 i 1878, w której dowodził dywizyą piechoty. W wojnie tej odniósł ciężką ranę, skutkiem której musiał na dłuższy czas wystąpić z szeregów. W roku 1889 został komendantem kijowskiego okręgu wojennego, na którem to stanowisku pozostał do ostatnich czasów.

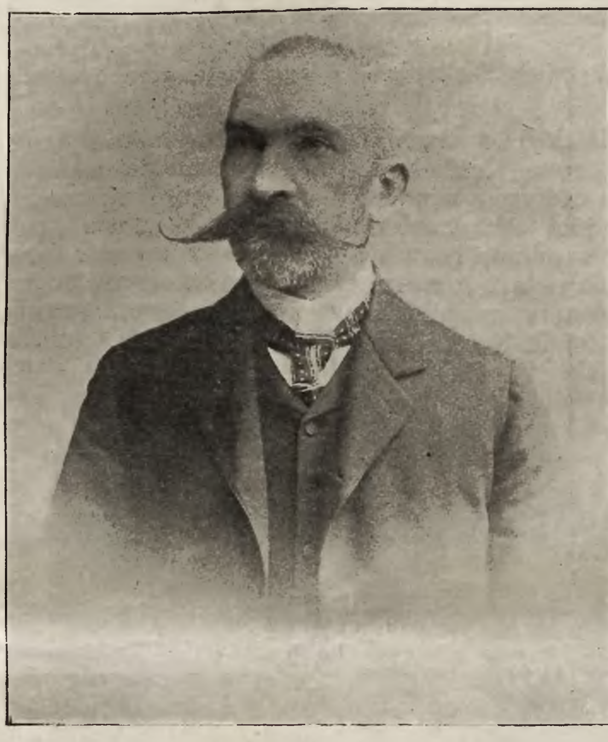
Dragomirow nie był dworakiem i gardził intrygami, jakie się rozwielmożniły po wstąpieniu na tron cara Mikołaja II. Dlatego też wielki wpływ, jaki miał na dworze za panowania Aleksandra III, zmalał za obecnego cesarza. Dragomirow nie ukrywał zwłaszcza swojej pogardy dla Plewego i Klejgelsa, z tego powodu, że oni ściągnęli wojsko do poziomu siepaków policyjnych. Pogardę tę okazywał im jawnie. Gdy Klejgels wystarał się u Mikołaja o bezpośredni carski rozkaz, ażeby Dragomirow przeciw buntownikom w Kijowie wysłał wojsko, Dragomirow zaalarmował w nocy całą załogę kijowską i rozbił obóz na targowicy. Rano kazał wojsku powrócić do koszar, a do cara wysłał następującą depeszę: „Całe wojsko zmobilizowane. Wystąpiło na stopie wojennej. Nieprzyjaciela nie spotkano. Dałem rozkaz do powrotu. Koszta 128.000 rubli“. Mikołaj, uniesiony gniewem, wezwał Dragomirowa do Petersburga. Na dworcu petersburskim czekał na niego Klejgels, niższy odeń rangą, ale zausznik cara. Zobaczywszy go Dragomirow, krzyknął: — Dlaczego nie wdziałeś paradnego munduru? — Zmieszany Klejgels odparł: Ależ ekscelencyo, jestem przecież w wielkiej paradzie! — Kłamiesz! — krzyknął Dragomirow. — Przecież nie masz knuta!. Po tych słowach pojechał do cara, który podobno usłyszał od niego nagą prawdę o stosunkach w Rosyi.

Z postacią Dragomirowa zeszła w Rosyi do grobu jedna z najpiękniejszych postaci żołnierza, który wojsko cenił wysoko, ale wojsko, które broniło ojczyzny, a nienawidził żołnierzy, walczących na ulicach z tłumami bezbronnymi.

W dzisiejszym numerze podajemy fotografię ś. p. Dragomirowa.

Wiec lwowskich urzędników państwowych.

Wzrastająca z dniem niemal każdym drożyzna, zwłaszcza artykułów spożywczych i mieszkań, jest powodem, iż dola urzędników państwowych staje się coraz bardziej ciężką. Regulacya płac, przeprowadzona przed kilku laty, tylko chwilowo poprawiła stosunki materyalne tej tak licznej klasy społecznej, wnet bowiem drożyzna spowodowała, iż pensye okazały się znowu za małe. Zwłaszcza fatalnie wprost przedstawiają się stosunki materyalne urzędników w miastach większych, gdzie drożyzna doszła do niebywałych rozmiarów. Przeważna część urzędników państwowych we Lwowie, pogrążona jest w długach i brnie w nie coraz głębiej, a większość tych długów, to długi lichwiarskie, rosnące z niesłychaną szybkością.



Fot. Lissa. Lwów.
Wiec lwowskich urzędników państwowych: Prezes wiecu, radca dworu Jerzy Piwocki.

Ten smutny stan materyalny urzędników lwowskich, skłonił ich do przedsięwzięcia kroków stanowczych, celem zapobieżenia dalszemu szerzeniu się nędzy, w szczególności do energicznej akcyi za uzyskaniem dodatku aktywalnego w tej wysokości, jaki mają urzędnicy we Wiedniu. Skoro bowiem warunki życiowe we Lwowie nie przedstawiają się zgoła korzystniej niż we Wiedniu, niema przyczyny, dla którejby dodatek ten miał tu być niższym.



Wiec lwowskich urzędników państw.: Dr. Gottfried sekretarz wiecu.

Pierwszym krokiem w tej akcyi był wiec lwowskich urzędników państwowych, który obradował w niedzielę 29 października w sali ratuszowej.

Jak aktualną, jak piekąca była kwestya, postawiona na porządku dziennym, dowiodła okoliczność, iż w wiecu owym wzięło udział takie mnóstwo urzędników wszelkiej rangi i wszelkiej dykasteryi, że sala ratuszowa nie mogła ich wszystkich pomieścić. A nie należy zapominać, że urzędnicy rządowi nie lubią wiecować i zdala się zawsze trzymają od wszelkich manifestacyj.

Przewodniczył obradom urzędników, radca dworu w namiestnictwie Jerzy Piwocki, sekretarzowali pp. dr. Gottfried i Sterzyński. W dyskusyi, bardzo żywej, wziął udział i namiestnik kraju Andrzej hr. Potocki, który z zajęciem przysłuchiwał się obradom. Przemówienie namiestnika zrobiło jak najlepsze wrażenie, wiał bowiem z każdego jego słowa duch prawdziwie i szczerze obywatelski. Przyrzekł też namiestnik poprzeć gorąco słuszne a skromne żądania urzędników u rządu centralnego.

Kiedy jednak walka urzędników o poprawę bytu i jak się skończy — trudno dziś przewidzieć,



Studenci węgierscy we Lwowie: Grupa gości węgierskich przed gmachem Zakładu narod. im. Ossolińskich. Fot. M. Münz. Lwów.

wiadomo bowiem, że rząd austryacki jest bardzo w takich wypadkach skąpym. Namiestnik hr. Potocki będzie więc musiał użyć całego swego wpływu, aby życzenia urzędników mogły się stać rzeczywistością.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy portrety członków prezydyum wiecu, pp. radcy dworu Piwockiego przewodniczącego, dr. Gottfrieda i Sterzyńskiego, sekretarzy.

Studenci węgierscy we Lwowie.

Przed kilku tygodniami podaliśmy w „Nowościach“ krótki opis pobytu lwowskiego chóru akademickiego w Budapeszcie i Debreczynie, podnosząc ogromną gościnność i serdeczność, z jaką Węgrzy naszą drużynę śpiewaczą podejmowali w tych miastach. Zadzierżgnięta a raczej odnowiona podczas tej wycieczki przyjaźń polsko-węgierska, znalazła nowy wyraz w wycieczce grona studentów węgierskich do Lwowa.

Pod wodzą posła dr. Ernö Kovacsa, jednego z wybitnych członków węgierskiej partyi niezawisłości a szczerego przyjaciela narodu polskiego, przybyli studenci węgierscy, wszyscy w pięknych, malowniczych strojach narodowych, w niedzielę rano do Lwowa, powitani na dworcu przez tłumy młodzieży i publiczności. I od samego początku pobytu Węgrów we Lwowie, aż do końca, zaznaczali zarówno sympatyczni goście, jak i młodzież polska oraz przedstawiciele społeczeństwa polskiego, że odwiedziny te są dalszym ciągiem stosunków narodu polskiego z narodem węgierskim, stosunków, które od tylu wieków między tymi narodami istniały, objawiając się nietylko w spólności królów ale i w wspólnej walce przeciw wspólnemu wrogowi a w obronie tychsamych ideałów prawdy i wolności.

Przyjęcie studentów węgierskich przez ogół



Dymisya Skałłona: Jenerał-gubernator warsz. Skałłon.

mieszkańców Lwowa było też nad wyraz serdeczne i szczere. Każde pojawienie się dziarskiej młodzieży bratniego narodu, każde ich słowo witano gorącymi okrzykami i oklaskami, a w czasie przemówienia dr. Istvana Kovacsa, przemówienia z ogromną siłą i temperamentem wypowiedzianego na zebraniu w politechnice, w czasie przemówienia posła E. Kovacsa w języku polskim, lub w czasie hołdu Węgrów pod pomnikiem Mickiewicza, entuzyazm wśród publiczności nie miał granic. Ogromnie rzewne zaś a podniosłe wrażenie wywarła gra na flecie jednego z studentów węgierskich, zwłaszcza gdy rozległy się dźwięki tak znanej, tak drogiej nam pieśni „Boże coś Polskę“. I wrażenia całego przyjęcia miłych gości nie zepsuła w niczem niesmaczna awantura, wyprawiona przez garstkę członków socyalistycznych, którzy chcieli gwizdaniem i obelgami „pomścić“ swych „towarzyszów“, waczących na Węgrzech z tamtejszą młodzieżą narodową.

Studenci węgierscy bawili we Lwowie przez dwa dni, byli na przedstawieniu „Strasznego dworu“ w teatrze, oglądali szczegółowo miasto i piękniejsze jego budowle, byli chwilę na posiedzeniu sejmu, a dnia trzeciego, żegnani z szczerym żalem przez młodzież lwowską, odjechali z powrotem w rodzinne strony.

W numerze dzisiejszym podajemy zdjęcie fotograficzne grupy studentów węgierskich pod zakładem narod. im. Ossolińskich.

Kamienica secesyjna we Lwowie.

Powstała we Lwowie na rogu ulic Akademickiej i Chorąszczyzny kamienica tak niezwykle piękna, tak daleko odbiegająca szlachetnością swych kształtów, regularnością swych ninii, starannością w doborze użytego materyału od masy kamienic, zbudowanych w ostatnich latach, że warto poświęcić słów kilka jej opisowi i warto podać jej ilustracyę.

Kamienica wspomniana zbudowaną została w stylu angielskiej secesyi. Styl ten zastosowano we Lwowie przy budowie wielu kamienic, stosowano go już od dawna i zagranicą. Secesya ta polegała jednak przeważnie na monstrualnem wykrzywianiu linij ozdób, na zamalowywianiu zieloną farbą wszystkich ram, drzwi i okien. Że całość tej secesyi nie przedstawiała estetycznego widoku, zbyteczne dodawać. Zupełnie inne wrażenie, a wrażenie w zupełności dodatnie, wywiera najnowsza kamienica przy ul. Akademickiej. Linie ozdób zewnętrznych, przeważnie kwiatów stylizowanych, piękne, szlachetne, regularne, drzwi i okna propocyonalne, odcień barwy zielonej, dość obficie stosowanej, ogromnie delikatny i dla oka miły: nic trywialnego, nic krzyczącego, nic, coby mogło obrazić poczucie estetyczne.

Tosamo da się powiedzieć o wnętrzu kamienicy. Klatka schodowa jasna, obszerna; ściany jej wykonane we wspaniałym prawdziwym marmurze werońskim, kararyjskim i belgijskim. Duże okna, o pięknych, kształtnych ramach, taksamo jak odrzwia, jak malowidła ścienne, wszystko w stylu angielskiej secesyi. Piękną ozdobą klatki schodowej są szyby okien, na których widnieją barwne malowidła, wypalane na szkle. Pokoje na wszystkich trzech piętrach duże, jasne, wysokie, prawdziwe salony, piece kaflowe, malowidła ścienne ogromnie oryginalne i odrębne.

Cały projekt budowy tej kamienicy i jego szczegóły wypracowane zostały w kancelaryi architektów pp. radcy Kędzierskiego i Michała Ulama. Firma ta również kierowała budową, a z dzieła swego może być istotnie dumną. Lwów zaś winien jest szczerą wdzięczność i właścicielowi kamienicy i autorom planów pp. Kędzierskiemu i Ulamowi, w kamienicy tej bowiem zyskał ozdobę pierwszorzędną, której wartość może być o tyle wyższą, iż da może pochop i innym architektom do zarzucenia ordynarnego, koszarowego stylu przy budowie kamienic, a stosowanie stylu, choćby nie secesyjnego, ale estetycznego.

Kończąc, zauważyć należy, że cały parter zajmują w tej kamienicy sklepy, wśród których wyróżnia się piękną, gustowną wystawą magazyn konfekcyi damskiej firmy pp. Stachiewicza i Kozakiewicza, młodych lecz dzielnych kupców.

W numerze dzisiejszym podajemy ilustracyę kamienicy secesyjnej z zewnątrz.

Dymisya Skałłona.

Rewolucya, zmiatając samodzierżawie, zmiotła również wszystkich obrońców i reprezentantów caratu. Z nadaniem konstytucyi bowiem wszystkie najważniejsze urzędy otrzymać muszą nowych naczelników. Wszyscy generał-gubernatorzy, którzy we krwi potokach chcieli zatopić burzę rewolucyi, będą musieli jeden po drugim ustępować, a w ich miejsce przyjdą ludzie nowi, ludzie o więcej europejskich poglądach. Bo przyznać trzeba, że najważniejsze, najbardziej odpowiedzialne urzędy obsadzano w Rosyi ludźmi, którzy śmiało mogli być



Kamienica secesyjna we Lwowie: Narożnik ulic Akademickiej i Chorążczyzny. Fot. M. Münz. Lwów.

nazwani barbarzyńcami Europy, którzy umieli tylko jedno: zwalczać za pomocą wojska, szczególnie kozaków, każdą myśl swobodniejszą, dla obrony caratu nie wahali się kazać strzelać do bezbronnych tłumów. Ci ludzie muszą teraz zniknąć z widowni dziejów, na których się tak krwawymi zgłoskami zapisali.

W bieżącym tygodniu nadeszła wiadomość, że dymisyę otrzymał niedawno mianowany generał-gubernator warszawski Skałłon. Przez czas niedługich swoich rządów na tak odpowiedzialnem stanowisku, zdołał sobie jednak Skałłon wyrobić smutną sławę okrutnika i zaślepionego czynownika. Knut, nahajka, więzienie, najwstrętniejszy ucisk, ustawiczny stan wojenny w Warszawie, oto były środki, jakiemi się posługiwał Skałłon, chcąc położyć tamę rozszalałej rzece rewolucyi. Nawet po nadaniu manifestu konstytucyjnego nie zaprzestał Skałłon repressyi. Masowe aresztowania i walki z wojskiem, były jeszcze wciąż na porządku dziennym; pomimo wolności słowa, wolności prasy zamknął Skałłon redakcyę „Kuryera warszawskiego“ i „Kuryera codziennego“, dlatego, że wychodziły bez cenzury.

Były to jednak ostatnie podrygi, ostatnie drgania konającego. Knut i nahajka należy już do przeszłości, niewola istnieć przestała, Skałłon więc skończył już swą smutną rolę krwawego obrońcy caratu. Jest nadzieja, że następca jego zostanie już



Franciszek Domnik (Dorowski).

nie kozak w jego typie, ale człowiek o szerszych poglądach, człowiek już europejski.

Podajemy obok portret Skałłona.

Franciszek Domnik Dorowski.

Postać to w teatrze krakowskim nieznana; mało kto o nim wie, a jednak jest to jeden z tych kapłanów sztuki, którzy jej całe życie złożyli w ofierze i służą jej wiernie przez szereg lat. P. Franciszek Domnik, znany pod pseudonimem Dorowski, to przecież weteran teatru krakowskiego, człowiek, który pierwsze kroki artystyczne stawiał na scenie krakowskiej i od tego czasu sceny tej nie opuścił, ale zawsze na niej pozostaje. Zmieniały się dyrekcye, zmieniali koledzy, p. Domnik nie ruszył się z Krakowa. On się zżył z grodem Jagiellonów, ukochał całą duszą scenę krakowską i nie porzucił jej.

P. Domnik wstąpił na scenę w roku 1878 za dyrekcyi Koźmiana. Teatr krakowski stał wtedy bardzo wysoko, personal był znakomity, szkoła to więc była dla młodych adeptów sztuki bardzo dobra. Sam dyrektor umiał w artystów wpoić zamiłowanie i cześć dla sztuki, to też z tej szkoły wyszli owi wielcy artyści i artystki, jakimi się dziś chlubi polska sztuka dramatyczna. W takiej szkole wychował się p Dorowski, zyskując sobie uznanie krytyki i publiczności. Zaniechał jednak wkrótce karyery artystycznej, a poświęcił się pracy scenicznej w zaciszu, zostając jednym z tych, którzy na scenie robią bardzo wiele, a o których publiczność prawie zupełnie nie wie — został inspektorem sceny i na tem stanowisku pracuje do dziśdnia, otoczony powszechną sympatyą, ceniony przez każdą dyrekcyę, lubiany przez artystów.

P. Dorowski nie poprzestał jednak na tem. Sięgnął on po laury autorskie i tu mu się szczęście również uśmiechnęło. Napisał kilkanaście znakomitych w swoim rodzaju sztuk, które zyskały niebywałe powodzenie na scenach krakowskiej, lwowskiej, warszawskiej i poznańskiej, że wymienimy tylko następujące: „Mieszczański światek“, komedya w 4 aktach; „Wasyl Hładysz“ (Król dziadów) obraz historyczny w 5 aktach; „Kąkol“, obraz lud. w 4 aktach; „Hołota“ komedya mieszczańska w 4 aktach; „Sto dyabłów“ komedya w 4 aktach; „Promyk słońca“ komedya w 1 akcie; „Kominiarze“ komedya w 4 aktach; „Widziadło“ komedya w 1 akcie; „Dom pana Feliksa“ komedya w 4 aktach; „Wigilia św. Andrzeja“, „Stare miasto“ i komedya w 4 aktach, grana z niebywałem powodzeniem w teatrze lwowskim p. t. „Na Łyczakowie“ i szereg innych sztuk, pisanych z wielkiem zacięciem scenicznem i doskonałą charakterystyką typów.

P. Dorowski to typ cichego pracownika scenicznego, który sztuce poświęcił swe siły, zadawalniając się jedynie uznaniem swoich kolegów, którzy widzą i umieją ocenić jego pracę, nieznaną przez publiczność.

W numerze dzisiejszym podajemy fotografię p. Domnika Dorowskiego.



Tydzień teatralny: Przedstawienie „Dziadów“, „Ijola“, Żuławskiego. Przedstawienie akrobatyczno-miniczne Ireny Nr. 2.

Kilka razy już od czasu objęcia przedsiębiorstwa teatralnego przez p. Solskiego, odzywały się w dziennikach głosy ostrej krytyki z powodu nie słychanego lekceważenia ze strony dyrekcyi, tych sztuk, których wystawienie wymaga liczniejszego zespołu artystów lub statystów, a zatem więcej kosztuje. „*Nowa Reforma*“ uczyniła wprost zarzut przedsiębiorstwu, że obcina ulubioną każdemu Polakowi sztukę „Kościuszko pod Racławicami“ dlatego tylko, aby oszczędzić na wydatkach. Co do nas nie dziwimy się temu wcale i byliśmy pierwsi, którzy zdarli z oblicza nowego dyrektora maskę „artystycznego posłannictwa“, w którą się ustroić usiłował, aby pokryć czysto geszefciarskie swoje dążenia. O artystycznych porywach pana dyrektora można mówić chyba w tem znaczeniu, że chce koniecznie wmówić w krakowską publiczność, że jego żona jest wielką artystką. Oczywiście praca to trudna i wielce niewdzięczna. Publiczność znosi wprawdzie wyuczone elukubracye pani Solskiej na scenie – ale za każdem pojawieniem się tej „wspaniale się pozującej“ a chrapliwie skrzeczącej „bohaterki“ ubolewa i sarka, że dyrekcya dla tych wątpliwych artystycznych zdobyczy odsuwa od ról inne, prawdziwie utalentowane artystki.

Jednym więcej dowodem braku wszelkiego pietyzmu artystycznego u p. Solskiego było przedstawienie „Dziadów“ dnia 2 b. m. Aby nie płacić kilka guldenów honoracyi artystkom i artystom, wyrzucił p. Solski ze sztuki bal u senatora, oraz nie wiem już dlaczego skreślił całą scenę widzenia senatora. Ładnych czasów dożyliśmy: Lada Ludwik Solski masakruje dzieło największego polskiego poety, pozbawiając widzów i słuchaczy istotnych części utworu. Jeżeli idzie o sztukę w której gra sam p. Ludwik Solski albo pani Irena, wtedy wloką się różne „piły“ aż poza północ, aby publiczność nie uroniła ani słowa z wielkich kreacyi. Ale „Dziady“ Mickiewicza, w których pp. Solscy nie grają — te się obcina, wyrzuca się całe sceny i całe akty!...

W sobotę wystawiono „Ijolę“ Żuławskiego, wielką bombę sceniczną, napisaną ładnym wierszem i pełną wszelkich okropności, nie wyłączając nawet św. Inkwizycyi. Utwór jest kompilacyą różnych reminiscencyi literackich i scenicznych a wystawienie swoje we Lwowie i u nas zawdzięcza podobno temu, że rola lunatyczki Ijoli napisana została dla pani Ireny Solskiej. Napełnił też pan Żuławski razem z panią Solską widownię teatru takiemi okropnościami, że w poniedziałek na występ drugiej Ireny (Sironi) pensyonowanej baletnicy wiedeńskiej opery, publiczność wcale się nie stawiła. Mojem zdaniem słusznie, bo na pantominy i szopki idzie się do cyrku, a nie do teatru. Możeby „duch artystyczny“ p. Solskiego natchnął go do wznowienia Fredry, Blizińskiego, słowem rodzinnego repertuaru, skoro już koniecznie chce zarabiać w teatrze i w poniedziałki. Ale prawda.... to nie taki pewny interes jak Sironi od której bierze się w gotówce 700 koron za widownię.

Impresario p. Sironi, p. Leicht skrzył się, że go Solski z Mikuckim oszukali, obiecali bowiem na swój koszt reklamować ten cyrk, a wziąwszy pieniądze pokazali figę... Ładne towarzystwo!...

Oświk.

Podesti.

Muzyka polska w ogóle, a operowa w szczególności, zawarła sojusz z najmuzykalniejszym z narodów z Włochami, sojusz, któremu od złotych czasów Zygmuntowskich, po dzień dzisiejszy dochowuje stale i wiernie słowa i... wiary. Jeśli kto nie wierzy, niech przewertuje annały opery warszawskiej, gdzie piękna ta sztuka jest w wielkiej estymie u publiczności, a znajdzie tam nietylko wiele nazwisk włoskich śpiewaków i śpiewaczek,



Podesti. Fot. Bahrynowicz Lwów.

lecz także wiele nazwisk kapelmistrzów i dyrektorów takich, jak Quatrini, Trombini i t. d. a ostatnio Podesti. Synowie obcego narodu, położyli wiele zasług i pracy około podniesienia muzyki w Polsce, z której społeczeństwem z żyli się i zrośli. Podesti jest artystą o wybitnym talencie dyrektorskim, artystą odczuwającym zarówno czar muzyki południa, muzyki Verdiego, Leoncavalla, Mascagniego, jak i umiejący pochwycić tajemniczy, marzycielski, tudzież słodki czar naszej melodyi.

Z równym zapałem i z równym ogniem, jak dzieła sobie swojskie, prowadzi naszą „Halkę“, nasz „Straszny dwór“, nasze „Verbum nobile“ i t.d. słowem naszego Moniuszkę, a także i inne dzieła polskich twórców.

Podesti, syn wybitnego muzyka, rodem z Bolonii, kształcił się w rodzinnem mieście, Wenecyi i Medyolanie, gdzie kierował kilka „staggione. Później dyrygował trupą operową złożoną z najwybitniejszych śpiewaków włoskich, goszczącą w Padwie, Pizie, Wenecyi i t. d. Przed kilku laty zaproszony przez dyrekcye teatrów rządowych w Warszawie, zyskał sobie na stanowisku dyrektora opery uznanie władz i krytyki, a sympatyę publiczności tak, że obecny reżyser opery lwowskiej nie wahał się zaprosić go do Lwowa na szereg wieczorów.

Nie długo niestety cieszyli się Lwowianie wybitnym artystą, który pozyskawszy sobie taksamo jak warszawska, także i lwowską publiczność, żegnany owacyjnie, wrócił z powrotem z nowemi laurami nad Wisłę do... Syreniego grodu.

KRONIKA LWOWSKA.

Rosyjska konstytucya a Lwów. — Horoskopy polityczne lwowskich myślicieli. — Nasze żale do teatru. — Siódma godzina a jej fatalne następstwa. — Przedstawienie bez głowy i ogona. — Estetyczny wygląd sali teatralnej. — Kto przychodzi na czas? — Ciężki dzień teatralny, czyli jeden dzień z życia bywalca. — Akademicy wegierscy a nasz dowcip. — Ciekawość Węgrów i zapiski osobliwości lwowskich. — Z czego możemy być dumni. — Właściciele długów hipotecznych a ich dowcip. — Piąta kurya sejmowa. — Szkarlatyna, Icek Harmider a kultura lwowska. — Temat do humoreski. — Autentyczna historya o pewnym pięknym panu, pewnej separowanej mężatce i ich schadzki. — Upór kobiety i dążenie do celu. — Grymasy, jakich wiele. — Wyborny pomysł pięknej kobiety. — Jutro, nie pojutrze. — Zastaw. — Skutkujący pomysł. — Sprawiedliwości stało się zadość.

Wiadomość o rosyjskiej konstytucyi wywołała we Lwowie — jak zresztą wszędzie — olbrzymie wrażenie. W pierwszej chwili ludzie poprostu nie wiedzieli co myśleć i dlatego też istotnie nic nie myśleli. Dowodem tego ostatnie posiedzenia sejmu i rady miejskiej. Ale kiedy potem nadeszły dalsze depesze potwierdzające tę sensacyjną nowinę, ludzie ochłonęli z pierwszego wrażenia i poczęli powoli omawiać całą rzecz, snując lekkomyślnie najsprzeczniejsze myśli i starając się przedewszystkiem odpowiedzieć sobie i innym na pytanie, co teraz będzie. Jedni twierdzili, że teraz całą Galicyę wezmą dyabli, bo jedna jej połowa wróci do Rosyi, skąd przyszła, a druga połowa pójdzie za tamtą, zostawiając w Galicyi tylko starców, emancypowane kobiety, dzieci i ajentów policyjnych. Inni twierdzą, że Galicya po wyemigrowaniu osiadłych tu królewiaków do Rosyi, przemieni się w raj opływający kwaśnem mlekiem, miodem i wódką, że potanieje mięso i woda, że stworzy się mnóstwo dobrze płatnych posad *à la* szlacheckie dyurna w Wydziale krajowym po 600—800 koron miesięcznie a wieś lub kamieniczkę można będzie kupić za psie pieniądze. Nie wspominam już o tych, którzy w proroczem jasnowidzeniu przepowiadają wjazd cara Mikołaja do Lwowa (hotel George'a I p.), zamianowanie ks. prałata Stojałowskiego gen. gubernatorem Lwowa, p. Kurkowskiego dyrektorem policyi a radnego Mokrzyckiego dyrektorem teatru, ani o tych nie wspominam, którzy przepowiadają bliski koniec świata i zniesienie loteryi.

Krótko mówiąc, wrażenie było zbyt silnem a fakt zanadto szczegółowo omawianym, ażebym się miał kusić o zanotowanie dokładne naszych uczuć i naszych myśli.

Mimo to wszystko nie zapominamy o naszych lokalnych sprawach, o naszych bolach i żalach a między innemi o żalu, jaki mamy do dyrekcyi teatru miejskiego — nie broń Boże z powodu tego, że opera w tym roku jest bardzo kiepską zdaniem referentów muzycznych, ale z całkiem innego powodu. Nie chce bowiem dać się ubłagać dyrekcya teatru, aby przedstawienia rozpoczynały się o godzinie $^1/_2 8$ a nie o godzinie 7 wieczorem. Bądź co bądź jest owa siódma godzina fatalną i powoduje wiele przykrości w naszem szarem życiu codziennem. Naturalnym bowiem skutkiem tego wczesnego rozpoczynania przedstawień jest z jednej strony szalony pośpiech, z drugiej stałe spaźnianie się do teatru. Są we Lwowie bywalcy teatralni, którzy w zimie nigdy nie widzą aktu pierwszego, bo nie mogą nadążyć na godzinę 7 do teatru, są inni, którzy nigdy nie widzą aktu ostatniego, bo chcą dostać się do domu przed „szperą“, a są i tacy którzy z obu powyższych powodów nie widzą ani pierwszego ani ostatniego aktu, zadowalniając się jednym lub dwoma aktami „środkowymi“. Nazajutrz z recenzyi teatralnych dowiadują się, jaki był początek względnie koniec wczorajszej sztuki i dopiero rozumieją, dlaczego wczoraj nie rozumieli...

W tych okolicznościach pójście do teatru stanowi dla urzędnika, urzędującego popołudniu, prawdziwą uroczystość, a w codnośnych urzędach ustalił się już zwyczaj proszenia o „urlop do teatru“. Ponieważ nie każdy z bywalców teatralnych mieszka przy placu Gołuchowskich i nie każdy może sobie zafundować gumowca lub bodaj dryndę, przeto *gros* publiczności gna bez duszy piechotą do teatru i przychodzi w najlepszym razie w połowie aktu pierwszego. Można sobie wyobrazić, jaka to wędrówka na sali, wstawanie, przepraszanie, szukanie numerów, mylenie się, a przedewszystkiem sapanie, sapanie, sapanie... Nieraz przez cały akt pierwszy kilka rzędów równocześnie sapie i to panie inaczej a inaczej panowie. A jak to wszystko wygląda!

Jeden dopiero w teatrze poprawia krawat, zapina mankiet i przypomina sobie, że „na śmierć“ zapomniał zmienić kołnierzyk, panie czasem dopiero tu kończą zapinanie rękawiczek, poprawianie fryzury i zakrapianie perfumą, znakomita połowa mężczyzn nie miała czasu ogolić się, więc przyszli niegoleni i nieczesani (szczęśliwi ci łysi!) w stroju biurowym lub co najwyżej kawiarnianym. Zagranicą teatr robi wrażenie balu lub innego zebrania uroczystego, u nas w najlepszym razie teatr przypomina zgromadzenie przedwyborcze z bezpośrednim prawem głosowania.

Ale są we Lwowie i tacy, którzy przychodzą do teatru na czas i już zupełnie gotowi do tego, aby podziwiać i być podziwianym. To są ci, którym się dobrze wiedzie na świecie, ci, którzy mają prawa nie mając obowiązków, ci, którzy dopiero popołudniu z łóżek wyłażą i odrazu zbierają się do teatru, to są także nasze wiecznie piękne, piekielnie kuszące gracye, nasze panie, które już rano mają wszystko przygotowane do teatru, spieszą się z obiadem, po którym zaraz przychodzi fryzyerka a kilka sług w pocie czoła pracuje nad wyekwipowaniem pani domu do teatru. Państwo dziś idą do teatru — to synonim małej rewolucyi w domu przez dzień cały. Taki dzień teatralny w rodzinie, gdzie nadto są córki, należy do najcięższych dni w roku, po którym się zazwyczaj kilka dni odpoczywa, jak po forsownym balu.

A dyrekcya teatru, rozpoczynając przedstawienia o godzinie 7, wywołuje może nawet mimowoli tyle... tyle — powiedzmy delikatnie — niepozumień.

Czy można się wobec tego dziwić, że akademicy węgierscy aż z Budapesztu przyjechali do Lwowa, ażeby na własne oczy przekonać się o tem, o czem już tyle przedtem słyszeli. My jednak jako gospodarze jesteśmy nietylko gościnni, ale i dowcipni. Już niejednego gościa mieliśmy we Lwowie, ale nikt nie widział tego, cośmy ukryć chcieli. Był Sienkiewicz, był Brandes, był cesarz, był szach perski, ale widzieli tylko to, cośmy im pokazywali. Ci Węgrzy jednak, to *teremtetem* ciekawi chłopcy. Oni już z góry mieli swój własny plan, swoje notatki i natarczywie wołali, by im to wszystko pokazać. Pokażcie nam historyczny stawek w parku Kilińskiego — wołali, a chcielibyśmy także zobaczyć wasz sławny ratusz, zanim zapadnie się w gruzy, zaprowadźcie nas na ulicę Słoneczną, Kaźmierzowską, Żółkiewską, Sieniawską, Wesołą, pokażcie nam bodaj wasz uniwersytet, waszą krajową dyrekcyę skarbu, wasz sąd krajowy cywilny, waszych złodziejów, czytaliśmy i słyszeli tyle o tem wszystkiem a teraz chcielibyśmy to wszystko zobaczyć. A gdzie się kryją wasi sławni mężowie, gdzie ów złotousty Mokrzycki, gdzie radny Czarnecki, gdzie tylu innych bojowników, o których się tyle pięknych rzeczy słyszało. Słyszeliśmy, że można jeszcze u was zobaczyć tramwaj konny i tyle starych zabytków, chcielibyśmy ujrzeć ten słynny pomnik Mickiewicza a słyszę, że od roku stoi bez ogrodzenia, postanowiliśmy wam dopomódz i urządziliśmy pomiędzy sobą groszową składkę na parkan.

Rozumie się samo przez się, że był to głos wołającego na puszczy. Zależy nam przecież na opinii ludzi. Tak tedy Węgrzy odjechali zachwyceni Lwowem, teatrem, Strzelnicą, kuchnią polską i lwowską policyą, która węgierskich gości nie spuszczała z oka, jak na gościnnych gospodarzy przystało. W teatrze miano grać na cześć gości „W jaskini lwa“, ale wybrano rzecz swojską i odśpiewano „Straszny dwór“, co na jedno wychodzi. Na pochwałę naszego miasta i odnieść należy, że żadnego z gości nie obito, ani okradziono, ani aresztowano. Możemy być dumni. Jesteśmy...

Ponadto możemy być dumni o naszą szlachtę, o ten kwiat narodu, o naszych obszarników, właścicieli większych długów hipotecznych, którzy dzięki wrodzonemu sprytowi, z każdej opresyi wylizać się potrafią i wymyśleć fortel, o jakiem nie śniło się samemu panu Zagłobie. Tak postąpili w sprawie zniesienia propinacyi i zastąpienia jej dochodami z opłat szynkarskich, dzięki czemu będą odtąd znów panami św. karczmy i tak urządzili się z powszechnem prawem wyborczem, obmyśliwszy to, co już sześć lat temu obmyślono a co okazało się zerem — mianowicie V kuryę sejmową. Ale w Galicyi wszystko wolno, więc wolno szlachcicowi zakpić sobie z praw ludu i z jego żądań. Czasy zmieniają się jednak, wskazówka na zegarze czasu posuwa się szybko naprzód a kpiny szlacheckie, które dotąd tolerowano, gotowe już wkrótce odbić się na ich własnej skórze..., Cierpliwości...

Pozostaje mi jeszcze wspomnieć o szkarlatynie we Lwowie i o jej leczeniu, co jest cennym przyczynkiem do dziejów lwowskiej kultury. Szkarlatyna we Lwowie nie przestaje grasować, co mniej dziwne, bo raczej dziwićby się można, że nie wybuchają wszystkie istniejące na świecie epidemie równocześnie. Nikt jednak nie uwierzyłby, że mieszkańcy stolicy, w której mieszka kilkuset lekarzy, wzywają do chorych na szkarlatynę dzieci... fryzyerów. Taki cyrulik, uwieczniony przez Junoszę Icek Harmider, ma jedyny środek na wszystko. On stawia bańki. Czy tyfus, czy zapalenie mózgu, czy suchoty, czy cholera — on stawia bańki. Taksamo leczą szkarlatynę i mają wielką „wziętość“. W chwili grożącego już niebezpieczeństwa, oczywiście zapóźno, wołają strapieni rodzice lekarza... Dziecko umiera a cyrulik powiada: Nie mówiłem ja, żeby nie wołać lekarza?... Przyczynek do kultury Lwowa.. bańki lwowskich harmiderów.

Na zakończenie autentyczna przygoda pewnego dobrze znanego na bruku lwowskim pana, temat do komedyi, humoreski, tragedyi, co kto woli...

Jest sobie ten młody, dobrze urodzony jegomość piękny jak anioł. Kobiety przepadają za nim a kilka już nawet przepadło. On sobie z tego nic nie robi a co na którą spoglądnie, to dostaje ją w niewolę... Co łup, to trup... żywy trup z napuchniętem sercem, czy jak tam... Trudno mu się dziwić, jeżeli nie jest równie czuły na wszystkie westnienia, idące z drobnych różowych usteczek w stronę jego demonicznego wzroku o melancholijnem przyćmieniu, jak to powiedział pewien znakomity poeta, który już umarł. Ale kobiety bywają uparte. One, gdy kogo wezmą na oczko a postanowią zwyciężyć, idą konsekwentnie drobnym kroczkiem naprzód, aż zwyciężą nieprzyjaciela i odbiorą mu flagę wojenną. Jedna z tych upartych a pięknych, podobała się naprawdę lwowskiemu donżuanowi. Na ulicy przystąpił i przedstawił się. Byłaby innemu nie odpowiedziała, ale jemu któż się oprze. Najbardziej kusząca z pokus, istny szatan nie człowiek — powiedziała sobie piękna kobieta i wdała się, jak to już zwykle bywa, w długą bezsensową rozmowę, przyczem on starał się być dowcipnym a ona złościła. Oboje ze skutkiem... Poznał, że ją coraz więcej zajmuje swoją osobą, że rada jest tej znajomości. Dowiedział się, że jest mężatką separowaną od stołu i łoża a zatem prawie wolną. Nie całkiem wolną, ażeby przestać być interesującą i nie całkiem związaną, aby były przeszkody, odstraszające w dzisiejszych, tak mało rycerskich czasach młodych ludzi. W sam raz...

On jednak miał swoje grymasy. Należał do tych ludzi, którzy nigdy nie wychylają kielicha rozkoszy aż do samiusieńkiego dna, wino tylko nadpijał, papierosa po kilku pociągnięciach odrzucał... Tak samo postępował z kobietami... Pięknej kobiecie to nie wystarczało. Albo — albo, powiedziała sobie i jemu. Naznaczali sobie często schadzki, ona z całą punktualnością kobiety separowanej od stołu i łoża przychodziła, on nie.. Albo rzadko, albo gdy przychodził, zostawał krótko, tłómacząc się ogromnie ważnemi sprawami.

— A więc pojutrze na pewne — nalegała młoda piękna kobieta.

— Pojutrze to co innego, będę wolnym i przyjdę z pewnością...

— O, twoje z „pewnością“, znam już ciebie i twoją punktualność a ty nie wiesz, ile ja cierpię kiedy masz przyjść a nie przychodzisz — pamiętajże przynajmniej tym razem i bądź punktualnym.

— Ależ naturalnie, powiadam, że przyjdę, to przyjdę — odparł zniecierpliwiony Apollo lwowski.

Piękna kobieta zawahała się.

— Coś mi się nie podoba twoje dzisiejsze zapewnienie... A... cudownie! Mam wyborną myśl... Daj zastaw... Zabieram ci ten oto pierścień z brylantem na zastaw, bez niego nie zechcesz długo zostawać, wyborna myśl... Pojutrze przyjdź a odbierzesz go...

— Ależ nie bądź dzieckiem, cóż pomyśli moja żona...

— Powiesz, żeś go dał naprawić...

I po tych słowach zdjęła drogi pierścień z cudownie toczonego palca młodego mężczyzny. Ot, kaprys kobiety...

Trudno się było opierać, miała racyę, wymówki nie było... Zresztą pojutrze... możeby...

— Wiesz — powiada po krótkim namyśle — zatrzymajże pierścień do jutra a nasza schadzka odbędzie się jutro w tem samem miejscu i o tejże godzinie...

— Cudownie, cudownie! — zawołała uszczęśliwiona kobieta — widzisz, jak mój pomysł ślicznie skutkuje... a więc jutro.

I rozeszli się... Pomysł był naprawdę doskonały. Poskutkowało...

Nazajutrz z dziwną punktualnością przyszedł na oznaczone miejsce, nawet trochę wcześniej...

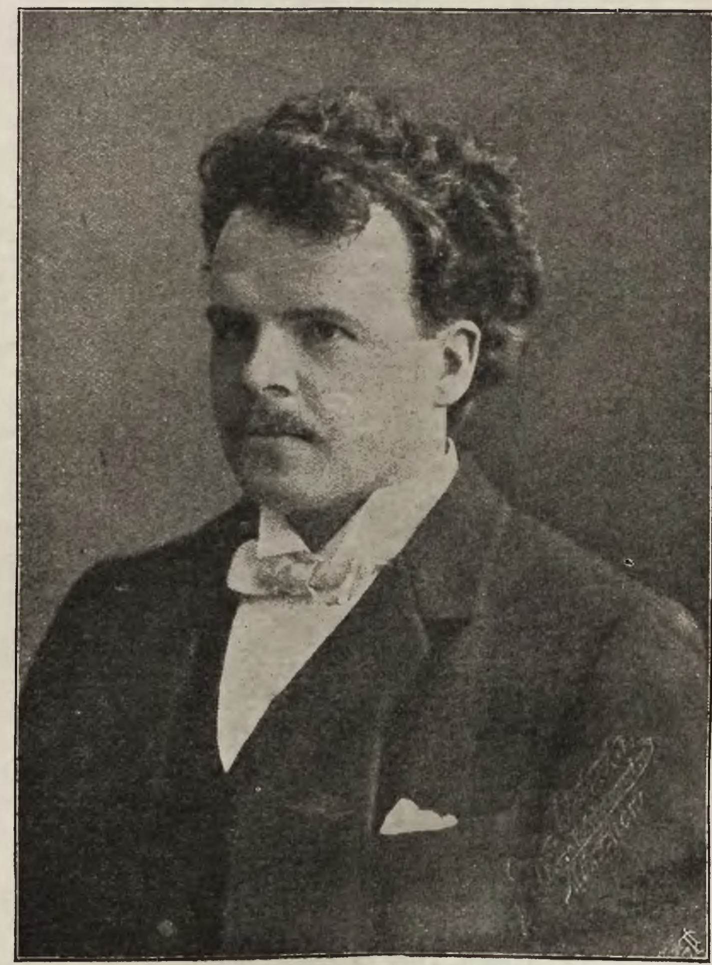
Ale ona nie przyszła... i zdaje się, nie przyjdzie nigdy...

Sprawiedliwości stało się zadość.

Klewe.

Fryderyk Lamond.

Wirtuozerya pianistowska, znalazła ujście w kilku, — nawzajem niemal się wykluczających kierunkach, specyalizując się dziś do wykonywania pewnych tylko rodzajów muzyki fortepianowej, a nawet pewnych tylko kompozytorów. Wskutek tego, mamy dziś pianistów grywających wprawdzie cały repertoar wirtuozowski, lecz popisujących się wobec eklektów muzycznych najchętniej z interpretacyą jednego tylko kompozytora. Takiego „specyalistę od Chopina“ mamy w Polsce — a jest nim Michałowski, takimi specyalistami są Godowski, d'Albert, Pugno, i t. d. — takim też jest i Fryderyk Lamond. Dziwny to okaz wirtuoza. Szkot z urodzenia, Niemiec z wychowania a Francuz z przekonań artystycznych i z ostatniego miejsca stałego zamieszkania, — jest wyjątkowem zjawiskiem w plejadzie najświetniejszych wirtuozów europejskich dlatego, iż ukochał głębię muzyki Beethovenowskiej i jej odtwarzaniu poświęcił swe siły. Z niedowierzaniem też przyjęto zapowiedź pierwszych występów Lamonda w Niemczech, gdzie kult geniuszu Beethovena jest tak powszechny. Lecz elegancki Szkot-Francuz, stanąwszy wobec mecenasów i znawców niemieckich w Berlinie 1893 przeszedł *summa cum laude*, ten naprawdę ciężki i niebezpieczny egzamin. Odtąd zarówno we Francyi, jak w Anglii i Niemczech, ceni się Lamonda bardzo wysoko, tem bardziej, iż wirtuoz ten a wysoce uzdolniony kompozytor, zaopatrzony jest zasobnie w bogaty arsenał środków technicznych, pozwalających mu poruszać się swobodnie w zakresie całej literatury fortepianowej nawet tej, na której szczycie wymagań, znajdują się tylko bezduszne pożądania nieprawdopodobnej sprawności palców,



Fryderyk Lamond.

słowem tylko... żonglerya techniki. Życiorys wielkiego artysty jakkolwiek w dziejach swych niezwykły, da się streścić mniej więcej tak: Urodził się w Glasgowie 28/1 1868. Pierwszych nauk udzielał mu brat starszy, wyborny i wzięty pedagog muzyczny. On to prowadził go po pierwszych ścieżynach zarówno gry fortepianowej, jak i ogólnej wiedzy muzycznej. Lecz na tem nie koniec. Żądny wiedzy muzyk, studyuje jednocześnie grę skrzypcową a nadto uczy się grać na ..oboju. Również czynny był jako organista, piastując w latach 1880 — 1882 urząd organisty w Glasgowie w 2-ch świątyniach a to w Newhall Paris Church, tudzież Lauriestion Parish. We wrześniu 1882 przybywa Lamond do Niemiec po szerszą wiedzę muzyczną, którą czerpie we Frankfurcie n/M., studyując grę fortepianową u Schw rza, grę skrzypcową u Bassermana, kontrapunkt u Antoniego Urspruchа. Jako wychowaniec konserwatoryum Raffa, przeszedł w latach 1884 i 1885 słynne kursa w tej uczelni, odbywane rok rocznie pod kierunkiem Hansa Bülowa, poczem jako już wykształcony muzyk i skończony wirtuoz, udaje się na wędrówkę artystyczną, rozpoczynając swój pochód tryumfalny od Wejmaru, gdzie gra wobec tytana ówczesnej wirtuozeryi fortepianowej — Liszta. Miejscami jego stałego pobytu są kolejno: Londyn, Petersburg, Frankfurt n/M., rodzinny Glasgow, a w końcu Paryż, gdzie przebywa do dnia dzisiejszego, czyniąc wycieczki artystyczne po Europie i Ameryce, witany owacyjnie przez miłośników gry fortepianowej, a wyróżniany zaszczytnie przez prasę. U nas w Polsce grał Lamond parę razy w Warszawie, zaproszony na „Recitale“ beethovenowskie, urządzane dawniej przez tamtejsze Tow. Muzyczne a później przez Filharmonię. W Krakowie wystąpi na wieczorze Beethovena, mającym się odbyć 13 listopada br. —. *urs.* —

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

(Ciąg dalszy)

— E! głupie gadanie! — wzruszył ramionami urzędnik — jeśli pani z własnej woli nie zechcesz towarzyszyć swemu opiekunowi, to narazisz się tylko całkiem niepotrzebnie na wielkie przykrości! Droga skargi do sądu nadopiekuńczego stoi dla pani zawsze otworem, ale teraz my, jako policya, musimy bronić praw opiekuna i gdyby nawet przyszło do tego, siłą zmusimy panią, abyś wraz z nim powróciła do d mu stryja!...

— Więc już niema litości i sprawiedliwości na świecie? — krzyknęła z rozpaczą Helena — więc istnieje naprawdę prawo, którem można mnie zmusić do życia wśród znienawidzonych ludzi?!

A Cezar, który dotychczas przysłuchiwał się wszystkiemu w milczeniu, przysunął się do kuzynki i rzekł jej niby stłumionym głosem, ale zawsze tak głośno, że wszyscy go mogli usłyszeć:

— Musimy się im poddać, moja najdroższa! Ale wierz mi, że dołożę wszystkich starań, aby pokonać stawiane nam przeszkody i dotrzeć do upragnionego celu! Teraz jednak musimy złożyć broń i towarzyszyć doktorowi!...

Ale młoda Amerykanka nie chciała wierzyć, żeby istotnie siłą można ją było przykuć do znienawidzonego opiekuna.

— Więc naprawdę muszę iść z tym człowiekiem, jeśli on tego zażąda? — zapytała urzędnika, patrząc mu bystro w oczy.

— Powiedziałem przecież pani wyraźnie: tak!

— A gdybym się wzbraniała, to siłą zmusicie mnie do tego?

— Z żalem, ale istotnie musiałbym użyć siły!...

— Dobrze! więc pójdę z nim! — rzekła Helena, spoglądając gniewnie w stronę doktora — ale przysięgam na wszystko, co mam najświętszego, na cienie moich rodziców, że ci ludzie pożałują jeszcze tej chwili, że moja zemsta ich nie minie, bo potrafię zemścić się i zdemaskować sieć intryg i zbrodni, chociażby była ona stokroć lepiej i silniej utkana!...

Słowa te wypowiedziane były z taką siłą, z takiem głębokiem przekonaniem i z takim tonem nienawiści w głosie, że Cezar z nietajonym lękiem spojrzał na kuzynkę, a urzędnik policyi z wyraźnem zdumieniem pokiwał głową w stronę doktora Harrasa, który sam jeden tylko zachował swoją zwykłą obojętną minę i słodki uśmiech dobroci.

— No, no! — rzekł spokojnie — nie czas i nie pora rozprawiać o tem i rozwałkowywać dalej tę przykrą sprawę, w której aż policya musiała współdziałać. Pani się już ubrała, panno Heleno, więc proszę pani za mną! Na dole powóz już czeka!...

I wszyscy czworo wyszli na korytarz, gdzie urzędnik dał żołnierzom znak, aby ich swobodnie przepuścili i dopiero w bramie hotelowej, gdzie zgromadziła się cała służba, pożegnał doktora Harrasa, który wraz z Cezarem i swą pupilką wsiadł do powozu.

Konie ruszyły ostrym kłusem, a gdy powóz znikł na skręcie ulicy, właściciel hotelu z uśmiechem zwrócił się do płatniczego:

— A co, Janie? — rzekł tryumfująco — czy nie mówiłem, że ci młodzi, to tylko sobie tak... ot, żeby prędzej zdobyć pozwolenie na małżeństwo?!...

Udała gra.

Jak błyskawica rozeszła się po całem mieście wiadomość, że ucieczka Heleny i Cezara zakończyła się przychwyceniem młodych zbiegów. Ogólne jednak zdziwienie wywołał fakt, że Franciszek Springer przyjął Helenę napowrót do swojego domu.

— Więc on zgodzi się na małżeństwo Cezara z tą dziewczyną? — mówili wszyscy. — Ach, doprawdy, co to za zacny, co to za szlachetny człowiek!...

Albertyna zaś zrazu trzymała się zdala od Helenki, ale gdy zobaczyła jej zbolałą twarzyczkę, nacieniowaną głębokim smutkiem, gdy dojrzała niemą rozpacz, malującą się w jej oczach, poczuła litość nad kuzynką i gdy Helena, wszedłszy do swego pokoiku, wyczerpana padła na łóżko, wbiegła za nią, uklękła i otoczyła przyjaźnie jej kibić swojem ramieniem.

— Uspokój się, Helenko — szepnęła z dziwną jakąś słodyczą w głosie, na którą nie umiała zdobyć się nigdy do tej pory. — Uspokój się, wszystko jeszcze będzie dobrze!...

Sierota potrząsnęła jednak przecząco głową i dwie duże łzy zabłysły na jej powiekach, a Albertyna szeptała dalej z czułością:

— Nie płacz, nie płacz moje kochanie! Niech tam ludzie plotą, co im się podoba, ty nie zważaj na to. Gdybym była wiedziała, gdybym się chociaż domyślała, że ty go kochasz, to sama powiedziałabym ci była, że to wszystko było całkiem zbędne!

Helena zdumieniem spojrzała na kuzynkę.

— Że ja go kocham, mówisz? a kogo?

— Kogo? mego brata! Cezara!...

— Co?! więc doprawdy ktoś może przypuszczać, że ja dla miłości uciekłam z Cezarem?! Ach-fe! taka plotka!...

Z kolei Albertynę ogarnęło teraz zdziwienie.

— I ty się pytasz, czy ktoś może coś podobnego przypuszczać?! Ależ całe miasto uważa to za pewnik niczem nie zachwiany! A list, który napisałaś do doktora, czy nie dowodzi tego najlepiej? Doprawdy, cóż innego mógł ktoś przypuszczać?!

— Więc i ty w to uwierzyłaś i twoi rodzice także?!...

— Naturalnie! Cóż innego mogło cię skłonić do ucieczki z Cezarem?

— Co? Tysiące innych powodów? Czyż oni nie wiedzieli, że ja pragnęłam stąd uciec za każdą cenę? Czy oni nie czuli, że ja żyłam tu, jak w piekle?!...

Albertyna spoglądała na sierotę ze wzrastającem zdumieniem; w oczach jej zamigotały nagle jakieś dziwne blaski i w końcu odezwała się z naciskiem:

— Więc ty możesz mi przysiądz, Heleno, że to nie miłość spowodowała cię do ucieczki z Cezarem?!...

— Ach, jakie to straszne, jakie to okropne, że w dodatku padłam ofiarą takiej podłej plotki, że muszę się bronić przed tak nędznem oszczerstwem! A więc, tak, tak! Przysięgam tobie i całemu światu, że nigdy nie kochałam twego brata i nigdy go nie pokocham! Przysięgam, że przyjęłam ofiarowaną przez niego pomoc, bo obiecał ułatwić mi ucieczkę za ocean do mojej ukochanej Ameryki! Przysięgam, że przez cały czas naszego pobytu byłam mu siostrą, lecz niczem więcej! Czy ci to wystarcza?!...

— Więc nie poślubisz Cezara, choć tylko to jedno mogłoby cię uchronić przed ludzką obmową!...

— Nigdy! nigdy! śmierć milsza mi, niż takie małżeństwo!

Dalszą rozmowę przerwało wejście stryjenki Amelii, która poprosiła Helenę, żeby udała się do gabinetu jej męża, gdzie oczekuje na nią stryj z opiekunem. Helena zawahała się chwilę, czy ma być posłuszną temu wezwaniu, ale niebawem odpowiedziała, że zaraz przyjdzie, a zarazem powzięła silne postanowienie śmiało spojrzeć w oczy swym prześladowcom i zmierzyć z nimi swoje siły. Biedaczka nie domyślała się nawet, z jaką potworną przewrotnością, z jaką brutalnością i podłością będzie musiała walczyć! I Franciszek Springer i doktor Harras wiedzieli dobrze z ust Cezara, że nie dopięli jeszcze celu, że Helena będzie opierać się małżeństwu z kuzynem. C. d. n.

LUDWIK STASIAK.

Domejko i Dowejko.

HUMORESKA.

4 (Ciąg dalszy).

— To niema nic do rzeczy.

— Jakto niema? Pan mi strzelisz w łeb, a ja nie będę wiedział coś pan za jeden?

— Znowu kota ogonem wywraca.

— Trzeba kres tej rozmowie położyć.

— Czego wy chcecie odemnie?

— Niby pan nie wiesz... Całowałeś ją pan...

— Jaką ją? Kogo miałem całować? Gdzie?

— Skorzystałeś pan z zamyślenia się kobiety, aby ją splamić lubieżnym pocałunkiem. Za ten pocałunek zapłacisz pan krwią!

— Dobrze. Ja zapłacę. Ale naprzód bądź pan łaskaw powiedzieć, kogo ja całowałem i gdzie?

— Jadąc automobilem napadłeś w lesie samotną kobietę...

— Co?! I pan także wyjeżdżasz z automobilem?

— Całe miasto mówi, żeś pan tego automobilu nie zapłacił.

— Całe miasto? Automobil i pocałunek? Nie, tego za wiele. Przecie ja dzisiaj oszaleję.

Porucznik powstał, zbliżył się do mnie i woła gwałtownie:

— Pocałowałeś ją pan?!

— Kogo?!

— Pannę Mayer.

Myślałem, że mnie słuch myli. Krew we mnie zawrzała. Przecie ja temu oficerowi oczy wydrapię.

— A panu dyabli do mnie i do panny Mayer?

— P całowałeś ja pan?

— Zabraniam panu stawiać mi takie pytania. Co jest między mną a panną Mayer, to panu nic do tego.

— Jestem sekundantem jej brata

— Co? He? On mi posyła sekundantów? A to dobre! On was tu do mnie posłał?

— Nie inaczej. Tłómacz się pan! Całowałeś ją?

— Pi, pi! Ile razy! Ja całowałem ją, ona całowała mnie...

— Bezczelność!!!

— Przed wylotem pistoletu staniesz!!!

— Dobrze. Ja stanę. Ale powiedz pan naprzód, czego pan odemnie chcesz?!

— Czego chcesz? Przecie pan wiesz, czego ja chcę. Jechałeś pan automobilem, ubrany we fioletową marynarkę. Zbliżyłeś się pan do kobiety samotnej i pocałowałeś ją pan.

— Kogo?

— Pannę Mayer.

— Mój panie, zamilcz pan!! Mnie pannę Mayer całować wolno.

— Kto panu pozwolił?

— Ona sama.

— To jest bezwstydne. My tu przychodzimy w imieniu jej brata.

— Dobrze mu tak.

— Jakto niby, dobrze mu tak?

— A mówiłem mu, żeby tyle nie pił.

— Kto? Jej brat?!

— Biedny człowiek. Wczoraj upił się na naszych zaręczynach, a dziś rano zwaryował.

— Kto zwaryował?

— Kto?! Myśmy wszyscy zwaryowali.

— Przecież mówiłeś pan o jej bracie, o Mayerze.

— No, ten przedewszystkiem ma bzika.

— Jakto?

— No, bo wczoraj pił ze mną na zaręczynach moich z jego siostrą. Ostrzegałem go. Obawy moje się spełniły. Zdaje się, że z nadmiaru gorzałki dostał pomieszania zmysłów i dziś mi posyła sekundantów, takich waryatów, jak on sam.

— Pan zapomina, że jestem oficerem artyleryi!

— Jesteś pan oficerem artyleryi?! No to wal sobie pan z armaty ile chcesz, a mnie daj święty spokój.

— Brat zelżonej kobiety jest także oficerem artyleryi.

— Tak? On?! A no to chyba zamianowali go od chwili, gdy dostał obłąkania.

— Dwadzieścia lat jest oficerem.

— Kto?!

— Mayer, brat panny Mayer.

— Mój panie! Ja mam wszystkie klepki w głowie! Brat mojej narzeczonej, panny Mayer, jest fabrykantem czernidła do butów, nigdy nie był oficerem. Jeśli się umie strzelać, to chyba po gębie, nie zaś z kanony.

(Dokończenie nastąpi).

Rozwiązania z Nru 44.

Szarady.

I. Aleksander. – II. Jaworów.

Arytmogryf.

Ś
E l y
F a u s t
H r a b i n a
I n t r y g a n t
P r z y o p ł a t k u
Ż y c i e p a r y s k i e
Ś l u b y p a n i e ń s k i e
B i e d n y I o n a t a n
W e y s s e n h o f f
L o h e ń g r i n
P i o s n k a
W u k a r
C i s
e

Śluby panieńskie.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: Janina Ramoszyńska Borysław, Tadeusz Domain Sanok, Jan Badura Rożdżeń, Wł. Hałdziński Lichwin, Marya Arbesbaner Lwów. B. Ramułtowa Jeżów, K. Chodkiewicz Zbydniów, Helena Mokrzycka Turbia, A. Surowiecki Podgórze, Karol Fuchs Peczeniżyn, Wanda Stojanowska Przemyśl, Leon Rogalski Mikulińce, J. Habermann Mikulińce, A. Skulski Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. A. Skulski we Lwowie. Prosimy o nadesłanie 72 hal. na koszta przesyłki.

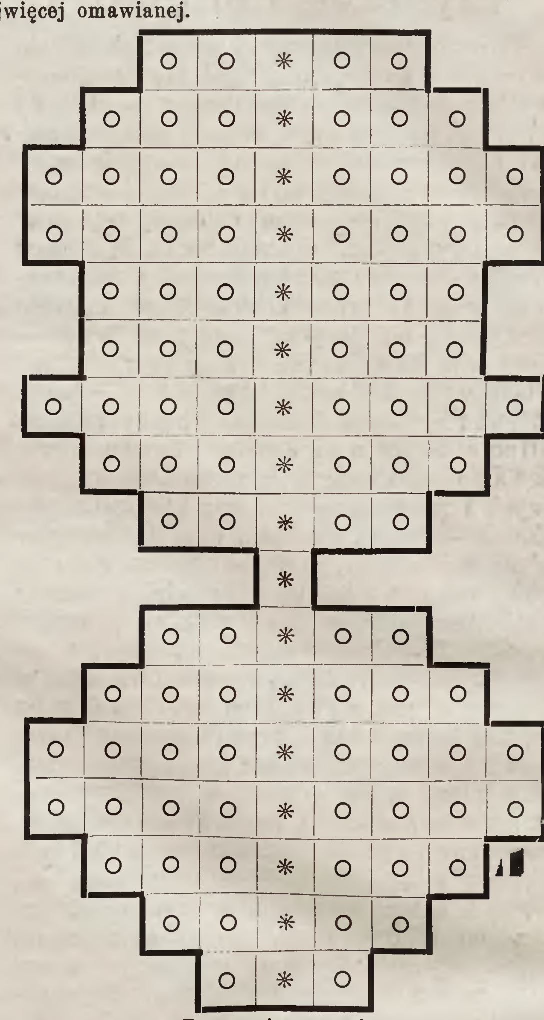
Zagadki do nagrody.

Szarada.

Dwa wyrazy, a sześć zgłosek,
Odgadnięcia stawiam wniosek.
Pierwsze, czwarte, obraz ziemi
Z proporcyami dokładnemi;
W szkołach wisi on na ścianie
I w księgarni go dostanie,
Marynarza w fal przestworzu
Oryentuje znów na morzu.
Piąte, pierwsze, dawne imię
W starożytnym znane Rzymie,
Drugie, trzecie – powiem tyle,
Ciągnie się na całe mile
I na wszystkie świata strony
Biegną po niej wciąż wagony.
Pierwsze, szóste, nie myśl wiele,
Bo przy każdym jest kościele.
Pierwsze, piąte, jak i *trzecie*,
W pięknym kraju Włoch znajdziecie,
Jest to owoc smacznej treści
U nas się po sklepach mieści.
Całość – tryumf to kultury,
Zdobył morza, przepaść, góry,
Lecz z istoty tej wynika,
Że pokrzywdził robotnika!

Zadanie.

Kółka i gwiazdki należy zastąpić przez litery w ten sposób, ażeby środkowe litery oznaczone gwiazdkami, czytane z góry na dół, dały słowa rzeczy w obecnej chwili najwięcej omawianej.



Znaczenie wyrazów:

1. Imię męskie. 2. Inaczej lokomotywa. 3. Pseudonim K. Białopiotrowiczowej, autorki „Pamiętnika księżnej Giedroyć“. Imię żeńskie. 5. Człowiek, zajmujący się wyrobem przedmiotów z drogich kruszców. 6. Minister rosyjski. 7. Bóstwo, czczone za czasów pogańskich w Polsce. 8. Rodzaj zabawy, obchodzony po wsiach od Bożego Narodzenia do M. B. Gromnicznej. 9. Słynna śpiewaczka. 10. Samogłoska. 11. Uderzenie po ręce. 12. Wieś w gub. Radomskiej, pamiętna z urodzenia bł. pamięci Wincentego Kadłubka. 13. Owad. 14. Wioślarz w Wenecyi. 15. Inaczej długi. 16. Nazwa kilku gór w starożytności, gdzie zasiadali bogowie. 17. Niebezpieczny prąd na rzece.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych, przeznaczamy:

„Dwa kilo herbatników“.

Nadmieniamy, iż udział w losowaniu biorą tylko Ci P. T. Abonenci. którzy rozwiązali trafnie wszystkie zagadki.

Rozwiązanie łamigłówki z Nr. 44.

A	M	O	R
S	N	O	P
L	A	T	O
Z	E	R	O

W	Ę	C	H
T	L	E	N
A	N	N	A
R	Ę	K	A

N	E	R	W
L	I	S	T
K	O	P	A
P	A	N	I

N	U	T	Y
M	Ę	K	A
O	B	Ó	J
I	R	Y	S

E

P	R	Ó	G
K	R	E	T
K	L	E	R
E	T	N	A

T	O	G	A
O	K	Ó	Ń
L	A	I	S
P	O	L	E

L	E	K	I
G	E	S	T
L	E	N	A
N	U	R	T

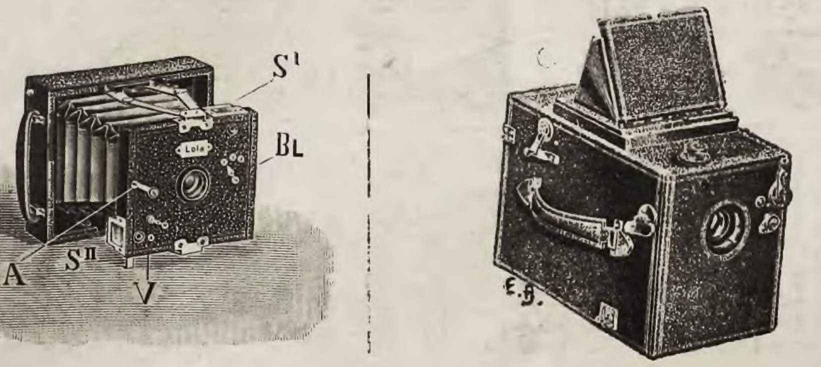
W	I	N	O
B	I	C	Z
R	O	C	H
L	E	C	Z

Antoni Pietkiewicz. — Henryk Biegeleisen.

Edm. Brodkowski, Lwów, plac Halicki 14 pierwsze piętro.



Poleca **po cenach hurtownych najnowsze aparaty fotograficzne** dla pp. Architektów, Inżynierów, Malarzy, Rzeźbiarzy, jakoteż do celów naukowych i amatorskich.



Cenniki gratis i franko. Na żądanie sprzedaje się na 4 miesięczny kredyt.

SALON KOSMETYCZNY

PRZY UL. BISKUPIEJ L. 14

poleca najlepsze aparaty i preparaty do pielęgnowania twarzy, włosów, rąk i palców. Wszelkie środki są zbadane i polecone przez Dra **Lustra**, specyalistę kosmetyki lekarskiej w Krakowie.

„Merkury“ GAZETA LOSOWAŃ I HANDLOWA

Adres: Administracya „Merkurego“ w Krakowie, Rynek gł. l. 5.

Dokładne wykazy ciągnień, popularny dział handlowy.

Prenumerata całoroczna 3 kor. 60 hal.

Bezpłatne dodatki.

Rocznik finansowy i kalendarzyk bankowy.

REIM I SPÓŁKA, KRAKÓW, RYNEK 37

POLECAJĄ

NA DRZEWKO!
dekoracye ukompletowane do ubrania całego drzewka od 2 do 16 koron.
Dekoracye i ozdoby z Lamoty, szkła, papieru, waty i żelatyny.
Pozłótkę srebrną i złotą, dyamentynę i śnieg błyszczący

JAKO PODAREK!
mydła i perfumy w eleganckich kasetkach po cenach od 1·50 do 20 K.
Perfumy, mydła, pudry, wody kolońskie z pierw fabryk angielskich, francuskich i krajowych oraz inne artykuły toaletowe.

NA GWIAZDKĘ!
Kompletne kasetki z przyborami do robót **piłeczkowych i sznycerskich.**
Przybory i kompletne kasetki do malowania olejnego, akwarelowego, na terakocie, drzewie i do napryskiwania.

Lichtarze zwykłe i ozdobne
Przyrządy do zaświecania i gaszenia lamp
Świeczki woskowe kolorowe gładkie i karbowane.



Tennisy pokojowe „Ping-Pong“.

Aparaty do wypalania.
Przyrządy gimn.
Kotwiczne skrzynki budowlane, łamigł.
Piłki, balony i inne zabawki gumowe.



Proszę żądać darmo i opłatnie mój bogato ilustr. cennik, zawierający 1000 rysunków dobrych i tanich zegarków, przedmiotów złotych i srebrnych

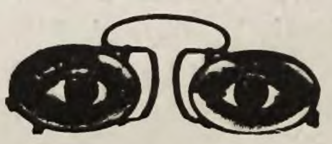
HANNS KONRAD

PIERWSZA FABRYKA ZEGARKOW w BRÜX Nr. 786 (Czechy).

Prawdziwy niklowy zegarek anker rem. syst. Roskopf patent w skórkow. futerale wraz z łańcuszkiem złr. 2·50. Nikl. budzik złr. 1·50, 3 szt. złr. 4. Żadne ryzyko. Zmiana dozwolona lub pieniądze z powrotem.

---

30 procent oszczędzi każdy na binoklach, okularach i t. d., kupując je u firmy:



T. ARMATYS

optyk i mechanik

Kraków, Plac Maryacki 3

P P. c. k. Urzędnikom, Akademikom i Studentom **jeszcze 10% opustu.**



Od 20tu lat znane
Krajowe tutki do papierosów
z najlepszej bibułki francuzkiej „Le Houblon“ białe i „Mais“ żółte № 1, 2, 3 i 4 oraz maszynki do robienia papierosów, poleca najtaniej Magazyn Nowości i przyborów do palenia
F. A. Grigara w Krakowie linia A. B.
Przy zamówieniu 5000 szt wysełam opłatnie.
Odsprzedającym daję znaczny rabat.

NOWO OTWORZONY

ZAKŁAD CYNKOGRAFICZNY Edm. Brodkowski

Lwów, plac Halicki l. 14 pierwsze piętro.

Wykonuje: **autotypie, fototypie i cynkografie najtaniej i najlepiej.**

Cenniki gratis.

Liczne uznania są w moim handlu do przejrzenia, o próbne zamówienia uprasza się.

Singera maszyny do szycia

znakomitej jakości, sprzedaje z 5-letnią gwarancyą na wypłat w małych ratach

NIEMETZ I SP.

w Krakowie, ul. Szewska 2 (pierwszy dom od Rynku).

Przyjmuje wszelkie naprawy

Ceny niskie.

Poleca się

EDMUND MARYAN BEER

Jubiler i złotnik

długoletni współpracownik b. firmy

J. OSTROWSKI & J. STRZELECKI

LWÓW, Akademicka l. 4.

WĘGIERSKA

RÓŻANA Papryka Szegedyńska najlepsza, słodka, ręczę za prawdziwość, uznanej znakomitej jakości, własnego wyrobu klg. za 5 K. Wysyłka za zaliczką, począwszy od 1 klgr. opłatnie. Dalsze specyalności: **Słonina, węgierskie salami** itp. b. tanio.

Dom wysyłkowy różnorodnych produktów krajowych

Haupt A. Rudolf, Budapest

VII. Ovodagasse 22.

„FLORA“

PRACOWNIA SUKIEN DAMSKICH

I SZKOŁA KROJU.

KRAKÓW, PODWALE 13.

OZDOBA DLA KAŻDEGO POKOJU!

Tylko krótki czas!



Z powodu zwinięcia fabryki udało mi się tanio zakupić 8000 dywanów ścien. i 11 000 dywaników przed łóżka tak, iż jestem w stanie wspaniały

Dywan ścienny sznelkowy

obustronnie jednakowy w pięknych prawdziw. barwach 100 cm. szeroki, 200 cm. długi o cudownych deseniach: Lwy, psy, rodziny renie, łabędź, paw, jeleń, Persowie, kwiaty etc. za zaliczką posłać **= po złr. 2·50 =** Szczególnie polecenia godny do wilgotnych pokoi, ponieważ dywan jest tak gruby, że się wilgoć nie przedostaje.

Dotychczas niebywałe ceny.

Piękne dywaniki przed łóżka tylko 70 ct. sztuka

PIERWSZY MORAWSKI EKSPORTOWY DOM TOWAROWY

JULIUS HOITASCH, GÖDING Nr. 120 (Morawy).

Setki podziękowań i dalszych zamówień znajduje się u mnie. — — — Nieodpowiednie zostaną bez trudności przyjęte z powrotem pieniądze zwrócone.

Poleca rozmaite wyborne gatunki

KAWY

codziennie świeżej

równo i pięknie palonej najnowszym i najlepszym sposobem

za pomocą gorącego powietrza

odznaczającej się najprzedniejszym czystym smakiem, pełnym i silnym zapachem, największą wydatnością, a zarazem posiadającą własność utrzymywania przez czas długi smaku i zapachu, w niezmienionej pierwotnej świeżości

po cenach bardzo przystępnych.

Na prowincyę wysyła od czterech kilgr. począwszy **codzień świeżo** paloną kawę 2—14 **= opłatnie. =**

Pierwsza Krakowska elektro-mechaniczna

PALARNIA KAWY



M. JAWORNICKI

KRAKÓW

Rynek gł. 44.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.